

8

OPOWIADANIE

New York Noir

6

WYWIAD

Łukasz Jędrzejczak



18

MUZYKA

Sztokholm

24

FELIETON

Nie
musi
brzmieć
dobrze



Maksymilian Gwinciński

Wstępniak

Całym sercem czuję się związany z jazzem. Nie tylko jako wykonawca i słuchacz, ale również jako współtwórca tego dwumiesięcznika. Generalnie chodzi o improwizację. Tworzenie kolejnych numerów SPLOTU NIESKOŃCZONOŚCI za każdym razem przynosi mi na myśl zespół wykonujący daną kompozycję po raz kolejny. Z jednej strony ramy są sztywno zamknięte, jednak ich wypełnienie jest całkowicie dowolne.

Tak jak jest z jazzem, tak też jest ze SPLOTEM. Znamy formę, mamy pomysły na jej przyszłą zawartość, lecz ostateczny kształt zawsze nas zaskakuje.

Przypuszczam, że dzieje się tak, ponieważ ten dwumiesięcznik jest ekstensją naszego podejścia do życia oraz pewną próbą przekazania wiedzy, którą zebraliśmy dotychczas na temat otaczającego nas świata. Z dnia na dzień improwizujemy w życiu, a efekty tej improwizacji publikujemy na łamach naszego magazynu. Zapraszamy do sprawdzenia w jaki sposób nam to wychodzi.

Życzymy miłego czytania!

Spis treści

ESEJ

Szalaben Szalabaj Szalamecomaj 3

WYWIAD

Łukasz Jędrzejczak 6

OPOWIADANIE

New York Noir 8

SZTUKI WIZUALNE

Strata niejedno ma imię 12

NAUKA

Wpływ jogi na ciało człowieka 14

MUZYKA

Sztokholm 18

ESEJ

Laura Palmer dotrzymała słowa 20

FILM

Sci-Fi w kinie PRL 22

FELIETON

Nie musi brzmieć dobrze 24

SPACER PO BYDGOSZCZY

Być jak Aldous Huxley 26

POEZJA

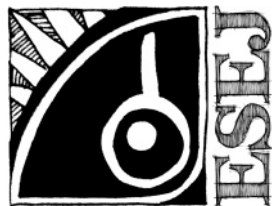
..... 28

KULTURALNIE W BYDGOSZCZY 30

NOWOŚCI PLEXUSA 32

Agnieszka Bykowska

Szalaben Szalabaj Szalamecomaj

o poetyckiej frakcji rewolucyjnej z początków wieku XX
trwającej po dziś dzień w lapidarnym skrócie

Jean Cocteau, wybitny francuski artysta, jako jeden z pierwszych porzucił schemat ukierunkowanej definicji sztuki na rzecz synkretyzmu, nie tylko gatunkowego, ale i rodzajowego. I chociaż sam zaczynał swoją karierę od wydania tomu poezji w młodzięcym wieku (swoją drogą bardzo udanego), ciężko było mu dostrzec szczerść sztuki swego okresu. Sam o sobie jako twórcy mówił w słowach: „Jestem kłamstwem, które zawsze mówi prawdę”, poddając w wątpliwość jednoznaczność człowieka jako spójnej jednostki.

Gdzie zatem upatrywać początków dadaizmu, o którym będzie tu mowa, tego rozbujanego prądu przeczącego konwencjom i wzorom kreacji dzieła? Starając się dotrzeć do źródeł, z których dadaizm wypływa, napotykałam wiele sprzecznych sygnałów i opinii. Wielu przypisuje ukucie terminu dadaizm Francisowi Picabii, który rzekomo w roku 1913

w trakcie podróży po Jurze przejawiał symptomy bycia pod wpływem nowego wirusa, później określanego mianem Dada. Richard Huelsenbeck w swojej *Historii Dadaizmu* twierdzi natomiast, że to on wraz z Hugo Ballem odkryli słowo *dada* przeglądając słownik niemiecko-francuski. Jednakże dadaizm wcielony w życie, manifestacyjny, otwarty na krytykę, oficjalnie rozpoczął się wraz z erą Cabaretu Voltaire, artystycznego ruchu zawiązanego z inicjatywą niemieckiego pisarza, reżysera teatralnego i ekscentryka Hugo Balla, który do Zurychu w latach I wojny światowej przybył z filigranową Emmą Hennings. Zadziwiającymi są koleje losów bohaterów dadaizmu, jeśli tak wypada mi ich nazwać. Artyści związani z kołem adoracji Balla i jego idei, a także naśladowcy tego nurtu poza szwajcarskimi granicami, tworzyli dzieła kuriozalne, przekształcając jednocześnie w kurioza swoje żywoty. Chcąc odseparować się od terminów sztuka, dzieło, poezja, stapiali się z nimi jeszcze silniej. Obserwując rozwój sytuacji Hugo Ball, po wielu latach działalności dadaistycznej, odcina się od całego ruchu. Zamieszkuje na wsi, gdzie żyje wśród ubogich wieśniaków i spełnia się jako pobożny altruista. Ten sam Hugo Ball, który w 1916 roku recytuje w Zurychu swój pierwszy abstrakcyjny wiersz fonetyczny *O Gadji Beri Bimba* w kostiumie z tektury.

Inicjatywa zawiązania Cabaretu Voltaire została wsparta filarami niezależnych twórców zuryskich, wśród których wymienić należy Tristana Tzarę, Marcę Jancó, Hansa Arpa i Richarda Huelsenbecka. Artyści zaczynają od wynajęcia powierzchni lokalu Mererei, gdzie uwalniają swoje nieokiełznane, synkretyczne płaszy. Z jakiegokolwiek strony nie spojrzeć na wyczyny kolektywu tworzącego Cabaret Voltaire, jednoznacznie przychodzi mi stwierdzić, iż wiodącą rolę w tym przedsięwzięciu przyszło sprawować poezji. Hans Arp wraz z Tristanem Tzarą i Walterem Sernerem we wspomnianym już płodnym roku 1916 piszą wspólnie cykl wierszy pod tytułem *Hiperbola o krokodylim fryzjerze i lasce*, dając początek poezji automatycznej, która stała nieporuszona pod naporem heksametru, gramatyki, estetyki, religii i wszelkich innych elementów determinujących istnienie i nazywanie poezji. Kolejną wielką ówczesną rewelacją poetyckiej manier stał się poemat symultaniczny, recytowany na rzy



Szalaben Szalabaj Szalamecomaj

► bądź więcej głosów, który wymyślili wspólnie Huelsenbeck, Tzara i Janco. Ball, mówiąc o poemacie symultanicznym, definiuje go jako obraz ludzkiego zagubienia wśród aparatu współczesności: „Zadaniem wiersza jest uwidocznić uwikłanie człowieka w procesy mechaniczne. W typowym skrócie ukazuje konflikt między *vox humana* a zagrażającym mu, dławiącym go i niszczącym światem, od którego rytmów i odgłosów nie ma ucieczki”.

Wiedziony instynktem banity, przystał do dadaistów wspomniany Walter Serner. Człowiek ten, odrealniony literat, wydawca czasopisma „Sirius”, podchodził do ruchu odszczepieńców z cyniczną rezerwą. Charakteryzowała go niezbywalna mizantropia – powtarzał za Brechtem, że człowiek jest za słaby, żeby być prawdziwie dobry i za dobry, żeby być naprawdę zły. Człowiek, według Snera, jest tylko słaby i w tej słabości zwyczajny. Píše on wiersze będące reportażowym zapisem stanów zaburzeń homeostazy – zainteresowanych odsyłam do wiersza o tytule *Najlepszy plaster błogosławieństwo czer-*

wone, który Serner pisze będąc pod wpływem wina. Mark Twain powiedział kiedyś, że przypadek jest czymś nieistniejącym, ponieważ wszystko co się dzieje warunkowane jest jakimś celem. Przenieśmy się zatem, przy użyciu narzędzi naszej imaginacji, do pracowni Hansa Arpa. Siadamy na krześle obok i obserwujemy artystę, zawzięcie pracującego nad jakimś rysunkiem. Po jakimś czasie nieusatysfakcjonowany Arp rozdziera na strzępy rysunek, a zniszczone efekty wielogodzinnej pracy zrzuca na podłogę. To, co na niej zostaje, wprawia go w osłupienie. Oczom jego ukazuje się dzieło, które z kartki papieru próbował wydobyć. Ostrożnie podnosi z podłogi skrawki papieru, cyzelując i odwzorowując na nowo dzieło powstałe „w wyniku przypadku”. Podobną zasadą kierował się w swym procesie twórczym Tristan Tzara. Rozcinał wybrany artykuł na drobne kawałki, po czym wrzucał wszystko do jednej torebki, potrząsał nią energicznie i zawartość wysypywał na stół. To co zastał, nazywał swoim poematem.

Jako że artykuł ten błądzi między kategoriami poezji, dadaizmu, artysty i życia, przytoczyć tu warto historię poety spoza kręgu artystów zuryskich, który stuprocentowo uosabiał manifest ruchu Dada. Był nim Arthur Cravan. Synteza poety i boksera-amatora znalazła w nim posłuch. Włamanie do sklepu jubilerskiego czy autodenuncjacja brzmią jak prequel do poezji bitnikowskiej. Rozpoczynając swą karierę w rodzimym Paryżu, wcześniej staje się jego wrzeszczącym kontrapunktem. W agresywnym amoku obdarowuje wyzwickami osoby stojące ponad nim na społecznej drabinie. Nie dba o ogólnie przyjęte i stosowane konwencje, nie wpasowuje się w ramy panującej w jego środowisku etykiety. Jednocześnie wielu widziało w nim prawdziwy talent i wróżyło mu silną pozycję wśród artystycznej awangardy. Wkrótce jednak po założeniu rodziny Cravan wypływa małą łódką z Meksyku w indywidualną podróż pełną niebezpieczeństw, na które nie był przygotowany. Jego żona, malarka i poetka, wycekiwała na męża wraz z nowo narodzonym dzieckiem. Cravan nigdy do niej nie powrócił, a wszelki ślad po nim zatonął.

Niestety na dzień dzisiejszy niewiele więcej wiadomo nam na temat Arthura Cravana. Próżno szukać o nim informacji w polskich bibliotekach. Podobnie resztą ze źródłami dotyczącymi dadaizmu sensu stricto, a także tłumaczeniami poezji wiodących, wspomnianych tu autorów. Jakiś czas temu przeczytałam pasjonujący wywiad Dawida Mateusza z Robertem Rybickim, autorem niedawno wydanego tomu *Dar Meneli*, w którym poeta stawia odważną opinię, jakoby dadaizm do Polski nie zawitał ►





wcale. Dodaje także, że chcąc sięgać po wiersze Tzary, mierzy się z czytaniem ich po francusku i po czesku. Są jednak szanse na zmiany. Na naszych oczach rośnie i rozwija się pokolenie multilingwistów. Roję więc w sobie cichą nadzieję na rychłe przebudzenie się historii i kultury Dada na kartach polskich źródeł pisanych.

Tym pesymistycznym akcentem nie kończy się jednak prowadzona tu rozprawa. Na koniec pragnę zadać Tobie, drogi Czytelniku, ale także i sobie złożone pytanie: Czy warto dziś jeszcze pisać poezję? Czy w czasach dewaluacji terminu poezja można kogoś jeszcze nazywać poetą? Czy aby poezja nie przeobraziła się w kilkusekundowe, bezrefleksyjne wstukanie zdania o zamkniętej na klucz lodówce z przypadkowym rymem daktylicznym gdzieś w środku, o którego istnieniu sam autor nie ma pojęcia? Boję się teraz szukać odpowiedzi na to pytanie. Odbijam jednak piłeczkę backhandem i wspominam o poezji Grzegorza Uzdąńskiego – twórcy znanej strony na wspomnianym serwisie społecznościowym „Nowe wiersze sławnych poetów”. Uzdąński poprzez naśladowanie stylów poetów-klasyków,

odważnie i kunsztownie rzeźbi w słowie, wskrzeszając jego minioną świetność w nowej zupełnie formie. I kiedy ktoś kiedyś zapyta mnie: czy da się jeszcze dzisiaj pisać rewolucyjne wiersze, tak aby nadal mogły one nazywać się wierszami, odpowiem: da się. I pokażę to:

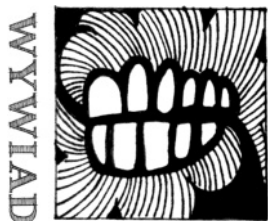
Miron Białoszewski

2016

Patrzę, w Sylwestra idzie
z szarfą dziad
- tyś
dwatyś?
- tak.
- już
musisz iść?
- aha.
- jak żeś mi
minął?
pamiętam
w styczniu
kalafior z bułką
przy oknie, a tu
już po?
- no.
- ja nie chcę
po!
- dostaniesz
nowy.
- ja nie chcę
nowego!
- to mi przykr
i kuśtyk
ja jeszcze
że w lutym
coś pod zlewem
stukali
a on już
w dali
kuśtyk
za róg
za rok
jakby go
nigdy
nie

Bibliografia:

H. Richter, Dadaizm
R. Huelsenbeck, History of Dadaism
[fb.com/Nowe-wiersze-sławnych-poetów-1537027053184427/](https://www.facebook.com/Nowe-wiersze-slawnych-poetow-1537027053184427/)
Rysunki: Agnieszka Bykowska



rozmawia Adam Kempa

Łukasz Jędrzejczak

Łukasz Jędrzejczak to naturalny typ rozmówcy, co zapewne wzmogło wieloletnie pracowanie w roli dziennikarza bydgoskiego Expressu. Jest też to człowiek z pasją – gdy zaczyna rozmawiać o muzyce, ciężko go zatrzymać. Nic dziwnego – za dowód na to jak wszechstronne są jego artystyczne zainteresowania może służyć fakt w ilu zespołach się udzielał lub nadal udziela, by wymienić co ważniejsze: Alameda 5, T'ien Lai, Duży Jack, Tin Pan Alley...

Adam Kempa: No właśnie, charakterystycznym dla członków nieformalnego stowarzyszenia Milieu L'Acéphale jest to, że działają na wielu frontach. Z Tobą nie jest inaczej, liczyłeś kiedyś swoje zespoły?

Twisk: Łatwo stracić rachubę, tym bardziej, że w ostatnim czasie powstały w Bydgoszczy formacje, które są jeszcze w załążku i nie wiadomo co się z nimi stanie. Na przykład 9 czerwca zagramy w Mózgu jako Mina. To taki duet doomowy, który tworzę z Mikołajem Zielińskim.

A jak wygląda Twoje podejście emocjonalne i zaangażowanie do każdego z nich? Traktujesz wszystkiesz podobną wagą?

Tak, traktuję je na równi, tym bardziej, że w większości tworzone są z tymi samymi ludźmi z ekipy bydgosko-toruńskiej. Jedynie Duży Jack to skład osadzony w Warszawie.

Kuba Ziolek nie lubi jak ktoś nazywa któreś z jego przedsięwzięć muzycznych 'projektami', zawsze broni się mówiąc, że są to pełnoprawne zespoły. Bo „projekt” to nazwa trochę galeryjna osadzona w kontekście dofinansowań i grantów. Ta nazwa to też trochę nieudany owoc tłumaczenia słowa „project” na nasz rodzimy język. Wracając do Milieu L'Acéphale, to wydaje mi się, że całe to nasze bydgoskie granie to taki jeden duży zespół odślaniający się w różnych wersjach.

A zawsze udaje się mieć osobny pomysł artystyczny na każde przedsięwzięcie?

Staram się takowy mieć, będąc świadomym pułapki, że to, co gra lub grać będzie każdy zespół, może wydawać się podobne. W zależności od zespołu, nie przeskakuję np. z gitary na syntezator, itd., tworzę na tym zestawie elektronicznych urządzeń, które mam od lat, więc łatwo zacząć zjadać swój własny ogon.

Co jakiś czas zastanawiamy się, jak to wszystko wygląda w oczach słuchacza i czym należałoby go jeszcze zaskoczyć.

Duży Jack wydaje się być czymś wyróżniającym i świeżym, patrząc na Twoje dokonania ostatnich lat. Jednocześnie jest też powrotem do korzeni, muzyki hałasu i energii. Będzie druga płyta?

To zależy głównie od trzonu zespołu, który tworzą koledzy Bebech i Tomek Dubiel. Płyta, która wyszła, powstawała w bólach, trwało to około trzech lat. Na szczęście powstał jeden nowy numer. Mam nadzieję, że muzyki Dużego Jacka będzie więcej.

A jak podchodzisz do rozstrzału gatunkowego, który również charakteryzuje Milieu L'Acéphale?

Zawsze mnie to pociągało, próbowanie trochę tego, trochę tamtego. Od podstawówki słucham różnej muzyki, nigdy nie będąc jakoś mocno wbitym w jakąś subkulturę, może z wyjątkiem hardcore punka. Oczywiście są ograniczenia umiejętności i sprzętu, nie zagram skomplikowanych improwizacji jazzowych, bo się na tym nie znam, ale to, co jestem w stanie określić dźwiękowo i wykręcić ze swoich instrumentów, chcę wykorzystywać najszerzej jak się da.

Asą jakieś światy muzyczne, które chciałbyś kiedyś zgłębić, chociaż na razie się ich nie podejmujesz?

Myślę, że rap, hip hop, może dub. Z T'ien Lai zbliżyliśmy się ostatnio do muzyki bitowej, ale wynika to chyba ze sprzętu, jaki mamy. Z rapem mam ten problem, że 90 procent tej muzyki, zwłaszcza w Polsce, nie wzbudza u mnie jakiegś podjarku. Jest to bardzo niewykorzystany gatunek muzyczny. Rap jest u nas zbyt wbity w komercję i niewiele artystów eksperymentuje w jego obrębie. Boją się stracić swoich słuchaczy. Są oczywiście wyjątki potwierdzające regułę, jak Synty, ale to niestety wciąż peryferia tego gatunku. Prawdziwie uznani raperzy wolą skupiać się na biznesie i estetyce, która z muzyką nie ma wiele wspólnego.

W największych wydawnictwach alternatywy – Instant Classic czy Lado ABC można ostatnio zauważyć coraz większą odwagę do muzycznych podróży we wszystkie kierunki.

Taki znak czasów. Instant robi niesamowitą robotę w tej dziedzinie. Rafał Iwański zawsze podkreśla, że jego wydawnictwo było u nich pierwsze. Chwilę później wydano tam dużo metalu i rock'n'rolla a te-



fot. Ela Schulz

raz kierują się w stronę takich artystów jak na przykład Wacław Zimpel czy zespół Pin Park.

No właśnie, Zimpla przywołuję zawsze, gdy myślę o docenieniu sztuki alternatywnej. Paszportem "Polityki" został uhonorowany klarnecista, który przecież nie tworzy formuły piosenkowej, tylko „robi swoje”. Czy to świadczy o dobrych czasach dla takich artystów?

Nie wiem czy takie w ogóle nadejdą. To świetnie, że ktoś taki jak Zimpel wygrał Paszport "Polityki," ale to też nie jest rodzaj nagrody, który przekonuje słuchaczy na jakąś wielką skalę. Tym bardziej, że niektórzy ludzie takie wyróżnienia oceniają pod wpływem pisaniny w różnych mediach, postrzegają "Politykę" za lewackie pismo, itd. Tracą na tym ludzie często niezwiązani z polityką lub świadomie dystansujący się do niej, tacy jak artyści.

Poczuwasz się do bycia artystą alternatywnym? Jesteś w takzwanym "niezalu"?

"Niezał" nie jest moim ulubionym słowem, nie do końca wiem co to w ogóle znaczy. Nie identyfikuję się z tym. Jeśli chodzi o samowystarczalność, to zawsze byłem „niezałowcem”. Różne są rodzaje alternatywy i różnie są traktowane przez odbiorców i media. Rzeczy głęboko offowe znajdują poklask na fanpage'ach typu „Płyty, o których nie śniło się młodym klerykom” blogu Bartka Chacińskiego albo wpisach Jarka Szubrychta. Jara się tym wąskie grono freaków. Z drugiej strony mamy Anię Gacek i Piotra Stelmacha. Trójka promuje kompletnie inną muzykę, którą nazywają „alternatywną”. Są jeszcze koledzy wydający w LADO, Instant Classic czy Plexus Of Infinity. Nawet jak Ziofas poleci na Trójce, to dzieje się to na marginesie. Te światy średnio się przecinają.

Ale nie jest chyba w porządku powiedzieć, że Wasze płyty są zupełnie niezauważone?

Na szczęście mamy grono fanów. Wciąż gramy koncerty, na który przyjdzie więcej niż kilka osób. Czasem wykluje się taka płyta jak Duch tornada, o której jest głośno w ogólnopolskich mediach, posypią się pozytywne recenzje. Fajne jest też to, że wciąż łapiemy się na tym, że zawsze na koncercie zjawi się ktoś, kto w ogóle nie słyszał o naszej muzyce. Czasem przy browarze zastanawiamy się, co można zrobić, żeby zejść z utartej ścieżki, na której istnieją dobrze nam znane kluby, festiwale i trafić do nowych słuchaczy.

A zagrałbyś w Opolu? Pytam ogólnie, nie mam na myśli kontekstu tegorocznych popychanek politycznych.

Zagrałbym! Mam jakąś przypałową ochotę wyjść poza taką strefę komfortu, w której sobie żyjemy z kolegami. Zamilska wystąpiła raz na Opolu, co było ewenementem i pewnie dużo ludzi to hejtowało, ale wydaje mi się, że o ile nie idzie się na jakiś kompromis artystyczny, to takie rzeczy są potrzebne i odświeżające. Can w latach 70 wystąpili w Top of the Pops. Zostali zaproszeni do występu w programie, który promował muzykę mainstreamową. Can się tego nie przestraszyli, wzięli udział w programie i przemycili swoje krautowe rozwiązania muzyczne. W Polsce też coś takiego by się przydało. Może ludzie skumaliby, że są lepsze kapele niż Coma czy Kabanos.

Miałbyś jakiś swój ulubiony zabieg koncertowy? Coś jak Kazik, który zaśpiewał do suszarki z playbacku?

To ja bym zaśpiewał do kalafiora. Albo zagrał na powietrzu, metr nad klawiaturą.



Miłosz Stupecki

New York Noir

Za oknem widać błyskawice i po chwili wibracja wprawia w ruch cały budynek. Szare, smutne miasto zapada w sen. Mężczyzna w prochowcu i czarnym kapeluszu wchodzi do zadymionego lokalu. Przechodząc przez próg zapala papierosa swoją benzynową zapalniczką. Zaciąga się dymem i podchodzi do telefonu. Po chwili rozmowy podchodzi do baru. Zaciąga się ostatni raz i ostentacyjnie gasi papierosa w popielnicze rozglądając się po barze. Zachrypniętym głosem zwraca się do barmanki pokazując jej palcami idealnie wymierzoną miarkę.

On: Tyle whisky i trochę mniej lodu.

Barmanka: Tyle?

On: Trochę więcej, jeszcze troszkę... o tak! Lodu do pełna. To jest bar Gravano, prawda?

Barmanka: Zależy o co pytasz... złotko. Jeśli pytasz o szefa, to tak. To jest bar Gravano.

On: Zastanawiam się czy mógłbym go gdzieś tutaj spotkać...

Barmanka: Ha, a co... jesteś psem?

On: Prywatny detektyw Scott Ryan... to moja odznaka. Więc, znajdę gdzieś Twojego szefa?

Barmanka: Gdzieś się tu... kręci, ale jeśli masz ochotę na...

Scott: Whisky? To nawet nie jest whisky, złotko.

Mężczyzna przy barze: Yyy, ładny garnitur, panie...

Scott: Wiem, był drogi...

Scott pewnym krokiem zmierza do biura Gravano i wyciąga swój zaufany rewolwer z wielką prośbą do pana Boga, aby nie musiał go dziś użyć. Gdy kolejny błysk przeszywa wnętrze klubu czas zwalnia. Scott paodchodzi do ochroniarza stojącego przed drzwiami Gravano i posyła grzeczny gest na powitanie.

Ochroniarz: Przepraszam, w czym pomóc?

Scott: To drzwi do biura Gravano, prawda?

Ochroniarz: Tu nie wolno wchodzić!!!

Scott: Ooo, cześć Gravano. Kopę lat, widzę, że wzmocniłeś ochronę.

Gravano: Widocznie nie tak jak trzeba... Wypieprzaj stąd Bob! Okej, co Cię sprowadza w moje skromne progi Scott? Słyszałem, że rzuciłeś karty, ale dalej jesteś fanem... widzę, że teraz żyta, tylko po drodze masz kilka innych spelun w których możesz się schlać i robić dym.

Scott: Chodzi o biznes, Gravano...

Gravano: Biznes?! Kocham biznes, mów do mnie, Scott...

Scott: Śródmieście siedzi Ci na dupie, żydowska mafia infiltruje Twoje zasoby i zabiera Ci żołnierzy, a Ty mi pieprzysz, że kochasz biznes? Wiesz Toro, zawsze byłeś dla mnie jak ojciec i zawsze Cię za to nienawidziłem.

Gravano: I...

Scott: I nic. Mam dość tych ciągłych podchodów. Chcę wiedzieć o co chodzi.

Gravano: Ha! Rozumiem Cię Scott, zawsze traktowałem Cię jak syna, ale gdybyś nim był to i tak nie zawahał bym się Ciebie zabić.

Scott: Baaardzo wspaniałomyślne z Twojej strony Toro, ale to już nie zabawa, pogrywasz ze wszystkim, co może Cię zniszczyć. Konflikt na ulicach z żydami? Doszły mnie słuchy, że chcesz zabić bratanka Rothschildów i knujesz jakiś diabelski plan. Może jestem Irlandczykiem, ale nie jestem głupi. Mam nadzieję, że nie grasz mną na tej planszy...

Grande: Ależ skądże, Scott! Scott... to tylko gra. Benjamin nic nie wie, to tylko spekulacje, jedyne co robimy to to, co zawsze. Okradamy destylarnie, puszczaemy nasz towar do naszych barów i elity Nowego Jorku mogą się dobrze bawić... Scott, to wręcz praca społeczna, to... że zgarniamy za to pieniądze to nie nasza wina, za to powinnieneś obwiniać nasz rząd...

Scott: Przystań pieprzyć Toro, wszyscy wiedzą, że masz w tym jakiś profit. Zabijesz bratanka Rothschildów i wkręcisz mnie znowu w jakieś bagno.

Gravano: Scott... Scottie, nie jesteśmy zwierzętami, żeby zbijać się o terytorium...

Scott: Mówisz to, jakbyś starał się być szczery...

Gravano: Bo staram się.. Scott, nie masz się o co martwić, wróć do swojego domu, połóż się spać obok Trish i daj sobie spokój...

Scott: Jeśli jeszcze nie wiesz, to Trish nie żyje już rok.

Gravano: Scott, Scottie, Scottie, wyluzuj się, widzę że już masz drinka, mamy piękne barmanki, nie mówiąc już o piekielnych dziewczynach z zaplecza, co? Scottie? Wyluz...

Scott: Wiesz co?! Toro... Idę stąd, ale jeśli sytuacja się zageści, to jesteście swoją jedyną tarczą, jeśli przegram, to przegrasz ze mną.

Gravano: Ta... Przejdź przez te drzwi, dopij, odłóż szklankę na barze i wyjdź. Będę się z Tobą kontaktował.



Scott chwiejnym krokiem wychodzi z lokalu i zmierza wzdłuż niemalże pustej alei. Co jakiś czas mija go samochód, odkrywający go światami z mroku.

Scott: Wiedziałem, że ten skurwiel coś knuje. Moja kochana Trish...

Trish: Scott...

Scott: Jestem tylko zwykłym człowiekiem w tej miejskiej dżungli, Trish... Mam za dużo na głowie...

Następny dzień, Mar mimowolnie wyciera bar czytając Carducciego. Przez okna wpada smuga popołudniowego nieba, a miasto spowija spokój i piękno zachodzącego słońca. Do lokalu wchodzi chudy jegomość z małą walizeczką.

Jegomość: Cześć Mar, wyglądasz na zmęczoną...

Mar: Cześć Jack, wczoraj w nocy przyszedł jakiś pies do Toro i wszystkim się dostało, za to że go tu wpuściliśmy, Toro był naprawdę wkurzony, Bob i Rob musieli pół nocy układać wszystkie szafki które powywracali...

Gravano: A co wy tu robicie, jakieś pogaduszki

do kurwy nędzy?! Jack rozkłada sprzęt!

Jack: Okej szefie... jaki pies?

Mar: Nie pamiętam złotko...

Jack: Okej mała, rób swoje, a ja porozstawiam ten sprzęt, bo zrobi z nas „karpacziijo”... ha? No... no powiedz...

Mar: Przestań Jack! Miej mnie na oku, czuję że coś jest nie tak...

Jack: Ech... Nie ma sprawy złotko.

Przez uchylone tylne drzwi słysząc szept który brzmi jak najciszy krzyk.

Scott: Jack... hej... Jack...

Jack: Co?

Scott: Jack!

Jack: Wołałaś mnie Mar?!

Mar: Czytam książkę więc raczej nie!

Scott: Jack, tutaj jestem!

Jack: Mar? Margherita! Przepraszam, muszę wyjść na moment.

Mar: Okej złotko, tylko wróć za chwilę, bo wiesz...

Jack: Masz to jak w banku złotko.

Jack: Scottie, wiem, że wiszę Ci jakieś drobne za ostatnią grę aleee...

Scott: Zamknij się Jack, musimy pogadać...

Ten sam dzień. Górzące nad całym miastem piętro pałacu Rothschildów. Miasto znów zasypia.

Ahab Rothschild: ...mojego bratanka? Ha ha ha! Nie mają na nas nic i Abraham nie ma żadnych problemów!

Głos z słuchawki: Tak? Nie bądź tego taki pewien Roth, uważaj na swoich współpracowników, muszę kończyć...

Ahab Rothschild: Tak, tak, tak... Aj Waj! Pieprzone czarnuchy... Esther, kochanie wpuść mojego gościa i jestem zajęty od teraz do odwołania... Aaaa shalom mój kochany bracie! Karim, dobrze Cię widzieć. Jakie wiadomości z frontu?!

Krakewer: Słuchaj szefie, plan średnio idzie... dogadujemy się z tymi makaroniarzami, ale policja nie daje nam spokoju. Są daleko przed nami i znają nasze kroki, nasze spotkania, rozpracowują wszystko jak ten Sherlock i Warson...

Esther: Panie Rothschild, telefon do pana...

Ahab Rothschild: Karim, ile to już lat jesteśmy przyjaciółmi? Zaufaj mi, ten plan to najlepsze co wyszło spod moich rąk. I Watson, to był Watson... Nieważne... jak ziścimy ten plan to wiedz, że będziemy nie tylko nietykalni, ale również ►

New York Noir

bogaci!

Krakewer: Tak, szefie, tylko...

Esther: Panie Rothschild... telefon...

Ahab Rothschild: Żadnych ale! Idź i zrób to co umiesz najlepiej, użyj wszystkich swoich mocy, by przekonać tego piekielnego „szeryfa”, pieprzonego „dowódcę” policji. Dogadaj się z tym Alfredo czy Alfonso i zrób to tak jak trzeba i przyciśnijcie razem Kriegera. Jak będzie się stawiał, to przypomnij mu o zdjęciach z jego pozamałżeńskich eskapad.

Krakewer: Okej szefie, a...

Esther: Panie Rothschild, telefon, pan mówi, że to ważne...

Ahab Rothschild: Żadnych "ale", Krakewer! A teraz przepraszam, muszę odebrać telefon. Esther!!! Mówiłem, że zajęty do odwołania!

Ahab Rothschild: Beniamin Rothschild, słucham? Aaa, to Ty Ryan, dowiedziałeś się czegoś? Cokolwiek? Czy to prawda z Abrahamem? Co knuje tej pieprzony makaroniarz Gravano?! Ta zasrana, spocona klucha?! Hmm?! Zgoda to zgoda!

Scott: Panie Roth, spokojnie – hyp! Toro zachowuje się dziwnie, ale powinien być czysty – hyp!

Ahab Rothschild: Oby był, zatrudniłem Cię, żebyś miał nad wszystkim oko, więc rób to! I nie chlej tyle do jasnej cholery! Do usłyszenia Scott!

Ahab Rothschild: Jak nie Włosi to Irlandczycy, jak nie Irlandczycy to Polacy, pieprzone wyższe sfery kurwa jego mać. Jeszcze tylko Niemców brakuje w tym zasranym mieście...

Sekretarka: Panie Rothschild, telefon do pana z Głównego Posterunku...

Ahab Rothschild: Uff... przepraszam, więcej Niemców... przełącz go Esther... Nooo, Krieger, Ty gnoju, miałeś wiedzieć o wczorajszej akcji ale nie miałeś jej neutralizować, umowa to umowa. Jak tak dalej pójdzie, to nie dość, że nie zobaczysz pieniędzy, to jeszcze będziesz mi krewny małą sumkę, a wtedy nie pomogą Ci te Twoje oddzia...

Krieger: &%\$*#

Ahab Rothschild: Dobra Krieger, przepraszam, ale nie tak wyglądała nasza umowa... Nie udzielam Ci informacji, żebyś je niszczył, udzielam Ci informacji, żebyś szedł do przodu i udawał, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik do jasnej cholery!! Krieger, słuchaj Krieger... wiem kim jesteś i gdzie mieszkasz... Krie? Krieger?! Zasrani Niemcy kur...

Esther: Szefie, przyszedł pana bratanek...

Ahab Rothschild: Dawaj go tu... Abraham, coś ty nawywiżył?!

Abraham: Wujku ale...

Ahab Rothschild: Żadnych "ale"! Wysyłam Cię, żebyś się dogadał z miejskimi a Ty ich wszystkich zabijasz jak jakiś pieprzony Atylla?! Co Ci odbiło? Pomyślałeś choć przez chwilę o rodzinnym interesie?!

Abraham: Wujku, to oni chcieli nas zabić. Cud, że w ogóle wyszliśmy z tego cała, ledwo zaczęliśmy spotkanie i nagle zleciały się dwa radiowozy na sygnale i nie mieliśmy wyjścia. Nie wiem jak się w ogóle o tym dowiedziałeś, bo zabiliśmy wszystkich...

Ahab Rothschild: Poza jednym, poza jednym!!! Jeden przeżył i opowiedział na posterunku, co się stało i teraz szukają Ciebie i Twoich kumpli z którymi miałeś się tylko dogadać odnośnie pieprzonych patroli w dzielnicach naszych i włoskich, i co?! Ten pieprzony Krieger do mnie wydzwaniał i tym swoim dystyngowanym szlacheckim głosem oznajmiał mi, że ich zaatakowaliście i umowa wisi na włosku. Przy okazji włosków, te pieprzone kulki tłuszczu chcą Ciebie dorwać po akcji z Enzo.

Abraham: Akcja z Enzo to moje osobiste porachunki...

Ahab Rothschild: Twoje osobiste porachunki?! Pokłóciłeś się z nim o jakąś głupią młodą dziwkę i zabiłeś go z zimną krwią. Jesteś moim bratankiem, ale jeśli nie zrozumiesz, że biznes to nie tylko dziwki i opium, to ostrzegam Cię. Ostrzegam Cię nie tylko jako Twój szef, ale przede wszystkim jako brat Twojego ojca który był takim samym głupim gnojkiem jak Ty! Za tydzień widzę Cię u mnie w biurze młodej chłopce i czekam na nowe informacje co z tym tam Alberto, Kriegerem i przede wszystkim... jak sobie poradzisz z wytłumaczeniem się z tego Rodzinom. Spieprzaj stąd!

Tego samego dnia w biurze Teodoro „Toro” Gravano...

Gravano: Gównu mnie to obchodzi Krieger... Dałem Ci wystarczająco dużo pieniędzy, żebyś miał wszystko na oku, a kręci mi się tu dawny... mmm... „znajomy” Scott Ryan, do którego mam sentyment... I wiem też, że Ty tego sentymentu nie masz. Wywaliłeś go za chłanie i po tym jak Cię błagał o dyscyplinarkę dałeś mu pozwolenie na bycie łapsem. Dogadaliśmy się na zniszczenie żydowskiej dzielnicy i wypalenie tej koszernej plagi z naszych ulic. Tylko, że Ahab coś kręci, tak czuję. To nie może być bieżąco.

Krieger: Ahab wysłał do Ciebie Ryana? No nieźle Toro, Twój mały synalek węższy, albo bardziej tonie... tonie... w morzu tej domowej irlandzkiej whisky... mmm...

Gravano: Zamknij się i dowiedz się co z Ryanem i dlaczego po dwóch latach przerwy nagle ►



przyszedł na drinka... Po drugie nie jest moim synem i po trzecie jego żona naprawdę nie żyje?

Krieger: Tak, wdał się w bójkę Żydków i twoich, żona siedziała w samochodzie, zaczęli strzelać, bum, krew na szybie, Ryan dostał furii, zabił trzech rękojeścią rewolweru po wystrzeleniu magazynku w pierwszego. Rok pił i robił rozróby w pracy, starałem się mu pomóc, ale nic to nie dało. Mam go regularnie na oku, bo nie chce mi się już za niego świecić oczami. Pije, ale jest niegroźny.

Gravano: Powiedzmy, że mnie przekonałeś...

Krieger: No powiedzmy, do usłyszenia...

Krieger: Jesteś gangsterem i masz paranoje, no nieźle... Ciekawe co tam u paranoika Benia... Halo, poproszę z Benjaminem Rothschildem... z tej strony komendant Bernard Krieger, Śródmieście, Nowy Jork...

Scott wyciąga Jacka z tylnych drzwi i przewraca się na ścianę. Po chwili niezręcznej ciszy...

Jack: Słuchaj, muszę zaraz wracać, może pójdziemy na jakieś piwko wieczorem, gram koncert, jakieś dziewczyny...

Scott: Nie mam czasu Jack, szykuje się coś dużego...

Jack: Boże, Scott, nie spałeś przez te ostatnie dwa tygodnie? Mam nadzieję, że nie przeze mnie, bo wiesz, heh... oddam Ci te trzydzieści dolców, znasz mnie Scott, jestem Twoim kumplem... nie? No powiedz...

Scott: Przestań Jack, Toro i Ahab dogadują się z szeryfem... coś dużego, mówiłem Ci ostatnio.

Jack: Przecież oni siebie nienawidzą, nie mówiąc już o szeryfie...

Scott: Toro i Ahab dogadują się z szeryfem niezależnie. Oboje chcą sojuszu z miejskimi i wiem, przypuszczam, wydaje mi się, że Krieger na to pozwolił. Na dodatek Ahab ma problemy z bratankiem który niedługo będzie... no wiesz, kaput. Toro ma problemy ze swoją ochroną i swoją lojalnością która już dawno jest kaput. Właściwie obaj mają problemy z lojalnością i obaj niedługo będą kaput, ale nie w tym rzecz. Będzie wojna, zobaczysz.

Jack: Kiedy Ty ostatnio byłeś trzeźwy?

Scott: Okej, piwka i dziewczyny wieczorem, na mój koszt, ale nie u Toro. Nasze ulubione miejsce przy Siódmej Alei. Będę tam po północy.

Jack: To musisz mi wyłożyć trzydzieści dolców na wejście...

Scott: I tak je przegrasz, Poker to nie Twoja gra... zwłaszcza, że nie będziemy grać, muszę Ci coś pokazać. Na razie!

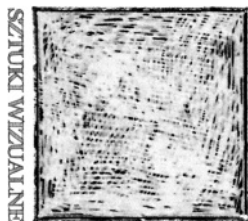
Jack: Esther miała rację, Scotty wrócił do gry. Ech... szkoda będzie tego klubu...

Mar: Co mówisz złotko? Przywieźli whisky, pomożesz mi?

Jack: Tak... Daj mi chwilę...

Mar: Jack, przestań gadać przez ten telefon i pomóż mi z tymi skrzynkami!

Jack: ...uważaj na swoich współpracowników, muszę kończyć... już idę złotko!



Agnieszka Domańska

Strata niejedno ma imię

Władka poznałam w liceum. Od razu wiedziałam, że jest inny niż wszyscy. Jego prace nie tylko szczególnie wypełniały ściany i zakamarki galerii w Zakopanem, ale zdawało się, że pewien sposób atakują patrzącego, przesywają go na wskroś jak maszyna do szycia niemowlę. Pewnych rzeczy się nie zapomina.

Józef przyszedł później, a właściwie to ja do niego – potrzeba było pielgrzymki do kulturalnej Mekki, warszawskiego przybytku sztuki. Po wielogodzinnym kluczeniu korytarzami Muzeum Narodowego natrafiłam na obiekt w stanie częściowego rozkładu. Nawiasem mówiąc, mam swoją prywatną teorię, z pewnością niezbyt nowatorską, że naszą uwagę przykuwa zawsze to dzieło, które w jakiś sposób odzwierciedla aktualny stan naszej psychiki. Tak więc jest listopad, najsłynniejsza polska palma tonie w szarudze, a ja patrzę na „Epitafium I” Szajny i już wiem, że ta nitka doprowadzi do kłębka. Jakiego i kiedy? Czas pokaże.

Władysław Hasior i Józef Szajna. Twórczość obu w pewien sposób się łączy, ale też wiele ich różni. Urodzeni w podobnym czasie artyści za temat swoich działań plastycznych obrali w dużej mierze okrucieństwo, przemijanie, stratę. Posługiwali się przy tym techniką asamblażu, która najpełniej miała wyrażać towarzyszące im emocje. Przedmioty uważane przez wielu za bezużyteczne, zepsute łączyli i nadawali im nowe znaczenie.

Gdzie w tym wszystkim tytułowa strata? U Hasiora przede wszystkim w warstwie tematycznej. Czy jest to odwoływanie się do wątków biblijnych („Golgota”), czy mitologicznych („Niobe”), artysta swoim bohaterom nadaje ludzkiego wymiaru, a ich historie przenosi do rzeczywistości zastanej. Tak jest choćby w przypadku Niobe i jej dzieci zastrzelonych z łuku: *To nie jest mit, to jest okrutna rzeczywistość. Marmur mi nie wystarczy, ja wcale nie uświęcę tematu robiąc go w kararyjskim marmurze. Bez skrępowań*



W. Hasior, *Golgota II*, galeria W. H. Zakopane /gdziebylec.pl



W. Hasior, *Sztandar Ekstazy*, muz. im. Jacka Malczewskiego w Radomiu /culture.pl



ulepię tę Niobe z mydła, bo w moim przekonaniu mydło najlepiej sugeruje materialność ciała ludzkiego i w bezpośredniej bliskości z tak wyobrażonym, zasugerowanym ciałem podpalę ogień. Zderzenie tych dwóch pojęć, wierzę, stworzy w wyobraźni jakiś ból, jakieś przecięcie tą sumą znaczeń, jaka jest w haśle Niobe.

Strata u Hasiora to również dosłowne wypełnianie pustki. Artysta w dziurach w ziemi umieszczał zbrojony beton, a wyjęte z nich rzeźby miały odzwierciedlać kształt naturalnej formy. Coś straciło swoje miejsce, więc pora zapełnić je na nowo.

Szajna, natomiast, jako osoba, która uniknęła śmierci w obozie koncentracyjnym, bardzo mocno akcentował w swoich pracach kruchość i przemijalność ludzkiego życia. Tę efemeryczność podkreśla choćby relief „Epitafium I”. Praca przedstawia fragment ludzkiego ciała wykonany z tkaniny zanurzonej w gipsie. Co ciekawe, sama podlega powolnemu rozpadowi. O tym, ile kłopotów sprawia konserwatorom sztuki pisał na blogu Piotr Lisowski z Pracowni Konserwacji Malarstwa na Płótnie Muzeum Narodowego w Warszawie: [Szajna] poinformowany o postępującej destrukcji dzieła bynajmniej się nie zmartwił, a wręcz przeciwnie, ucieszył się. Opowiedział mi, jak zaprojektował technikę wykonania, tak by obiekt starzał się razem z nim, a najlepiej razem z nim umarł. Mruknąłem coś o wpisie do inwentarza i o sprawach własnościowych, oraz o tym, że ja, konserwator nigdy nie pogodzę się z degradacją obiektu znajdującego się w muzealnym inwentarzu. Okazuje się więc, że przedstawiony na obrazie korpus martwej kobiety został przez artystę celowo skazany na ponowną śmierć, która ostatecznie skutkuje utratą przez muzeum jednego z eksponatów, a przede wszystkim dzieła polskiej sztuki współczesnej.

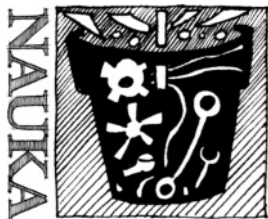
Wstukuję w słownik synonimów hasło „strata” – deficyt, niedobór, ubytek, szkoda, uszczerbek, manko (!), krzywda, utrata, zniszczenie – i myślę o dzisiejszej sytuacji. Przed sklepem siedział pies, jakich wiele: niewielkie gabaryty, smutne, ale dobre oczy, falowane uszy. Po chwili zjawił się właściciel. Odeszli, z tym że pan na dwóch nogach, pies tylko na trzech. Miał wypadek, czy taki się urodził? Jak oswoił swoją niekompletność? O śmierci wiszącej nad człowiekiem jak topór kata, o drzewie wyrwanym z korzeniami, czy właśnie takim osiedlowym psie bez tylnej łapy mówi Hasior: ...*właśnie materialna strata, dramat, że coś zostało złamane, zniszczone, istnieje w potocznym, obecnym życiu. Nie mówię o zniszczeniach tylko, że ktoś rozbił okno i ta szyba dotychczas istniała. Nagle rozbita wybuchła swoimi psychologicznymi znaczeniami... wieje wiatr, zim-*



J. Szajna, *Drabina do Nieba*, Centrum Rzeźby Polskiej, Orońsko

no z tamtej strony. I w tym szczęku, takim ułamku sekundy ja już mam impuls. (...)

I właśnie ten dramat istnienia jest przeze mnie dostrzegany, że tak powiem, w sposób bardziej zasadniczy niż powierzchowna uroda otaczającej nas rzeczywistości... Bo powierzchowna uroda otaczającej nas rzeczywistości zawsze jest chwilą ciszy przed burzą.

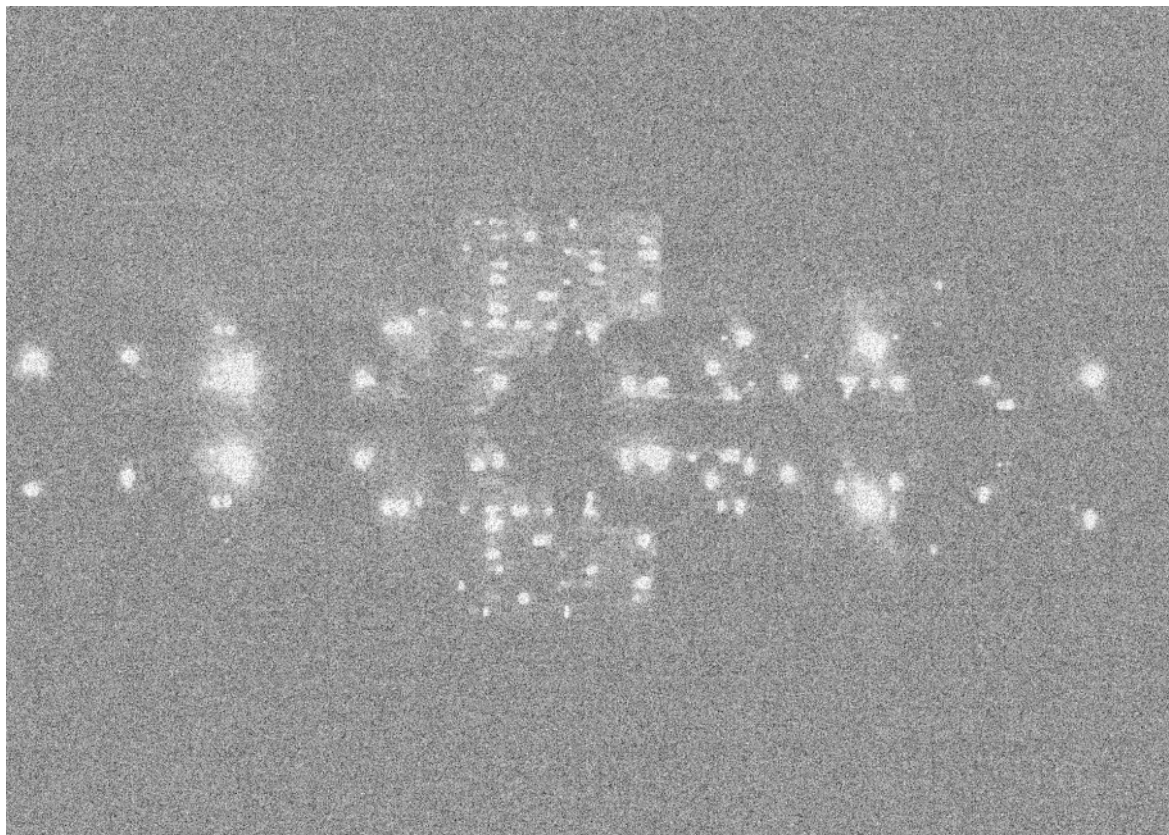


Katarzyna Stępień

Wpływ jogi na ciało człowieka

Ostatnio znajomy określił mój poprzedni artykuł o leczeniu dźwiękiem jako „paramedycynę”. Idąc więc dalej tym tropem dziś zajmę się wpływem jaki na nasze ciało ma joga. Według mitologii jogę stworzył bóg *Śiva* dla swojej żony, aby zachowała wieczną młodość, radość życia i piękne ciało (prawdopodobnie prezent dla niego samego). W religiach dharmicznych, takich jak hinduizm, buddyzm i dżinizm, nauczanie praktyk jogicznych prowadzi do przezwyciężenia *prawa karmana* (dosłownie prawo przyczyny i skutku) i wyzwolenia z kręgu *samsary* (dosłownie bezustanne wędrowanie, czyli cykl narodzin, życia, śmierci i procesu reinkarnacji), oraz do osiągnięcia stanu *kaivajya*, czyli całkowitego wyzwolenia i oddzielenia duszy od świata przyziemnego. Staje się to poprzez utrzymywaną samodyscyplinę (między innymi ascezę) i ciągłe samodoskonalenie w medytacji.

Najstarsze ślady dotyczące praktykowania datuje się na 2300 lat p.n.e. Pamiątki datowane na ten okres to głównie terakotowe figurki ukazujące ludzkie postacie w różnych asanach (pozycjach). Co ciekawe nie zachowały się żadne elementy traktujące o przyczynach i okolicznościach powstania. Kulminacyjny moment rozwoju jogi datowany jest na II w n.e., kiedy to została w całości uporządkowana i skodyfikowana. Mowa tu o traktacie *Jogasutra* Patańdźali, który podzielony został na cztery części złożone ze 195 sutr (aforyzmów). Jako pierwszy, temat, który dziś poruszę, opisał w IV wieku Wjasa (starożytny mędrzec indyjski). W swoich komentarzach do *Jogasutry* opisał jogę jako akt uzdrawiania. Porównał ją do medycyny, która nie tylko leczy, ale i szuka przyczyny choroby. Stąd też całe zaplecze filozoficzne jakie towarzyszy praktykowaniu.

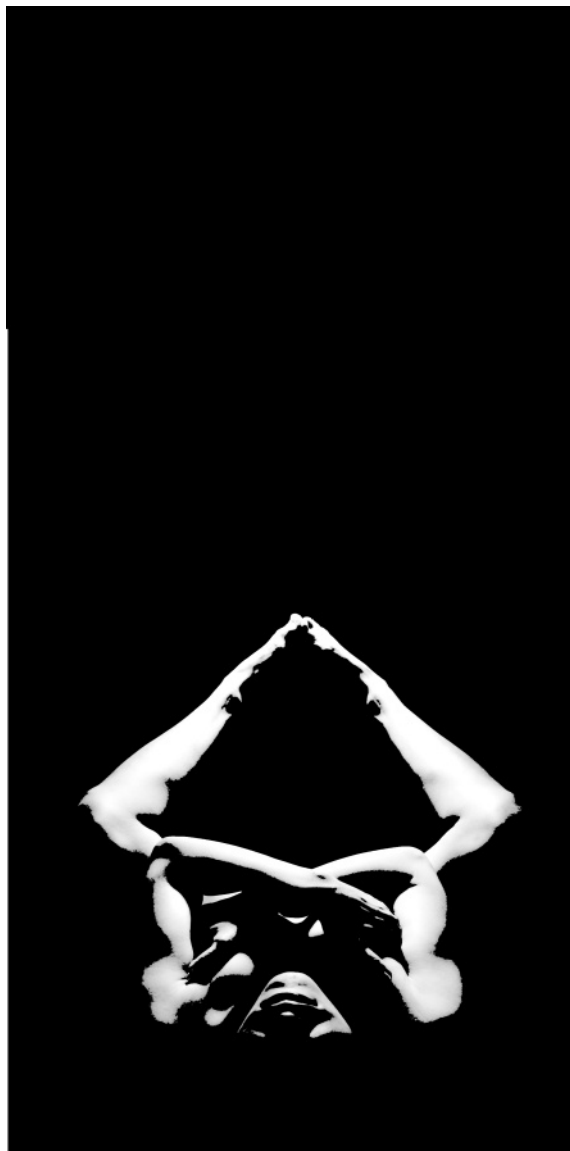




Przede wszystkim, rozpoczynając swoją przygodę z jogą, warto pamiętać o możliwościach swojego ciała. Nie możemy porywać się od razu na najcięższe pozycje, które zazwyczaj wymagają wieloletniego treningu. Jeśli zapomnimy o tym podstawowym warunku, praktyki nie tylko nie będą pomocne, a staną się szkodliwe dla zdrowia. Jednak odpowiednio wykonywane ćwiczenia - proszę nie zrażać się tym nieprzyjemnie sportowo brzmiącym słowem - pomagają się zrelaksować, obniżyć ciśnienie krwi i tętno. Dlatego też bardzo często stosuje się tę praktykę przy zespole stresu pourazowego i astmie.

Leczenie jogą jest szczególnie rozpowszechnione nie tylko w Indiach, a też w Stanach Zjednoczonych. Jednym ze szpitali, gdzie uznaje się ten rodzaj medycyny, jest Montefiore Children's Hospital usytuowany w hrabstwie Bronx (NY). Terapeutka Bess Abrahams wykorzystuje ćwiczenia głównie w celu zredukowania napięcia mięśni wynikającego z całodziennego leżenia. Poprzez praktykę wzmacnia też umysł dzieci. Pacjenci odczuwają nie tylko fizyczną ulgę, a też dzięki uspokajającemu działaniu jogi, łatwiej im pozbyć się uczucia lęku. Bess należy do International Journal of Yoga Therapy, które od 1989 roku stara się rozpowszechniać jogę i ukazać ją jako sztukę ciała, która może wnieść wiele pozytywnej energii do społeczeństwa. Stowarzyszenie od 2007 roku organizuje coroczne sympozja, a od 2008 roku zrzesza szkoły jogiczne z całego świata. Jednymi z najważniejszych badań, jak dotychczas, są te dotyczące pozytywnego wpływu na psychikę człowieka. Udowadniają, że asany pozwalają na wyciszenie i zregenerowanie. Prowadzi to do uspokojenia umysłu i przede wszystkim po poczucia wewnętrznej równowagi.

Każdy rodzaj jogi ma w sobie coś charakterystycznego tylko i wyłącznie dla siebie. Tak też, Hathajoga dążyć będzie do odejścia od metafizyki i skupi się na sferze ezoterycznej. Celem, poza osiągnięciem oświecenia, jest tu przezwyciężenie śmierci i chorób. Mówi się w jej przypadku o niebywałej mocy uzdrawiającej. Pomaga zwalczyć asymetrię ciała, przywrócić odpowiednie napięcie mięśni, uregulować ciśnienie krwi i pracę serca. Poza właściwościami „naprawiającymi” nasze ciało, dzięki hathajodze możliwa jest lepsza koordynacja ruchowa i większy zakres ruchu ciała. Ponadto pomaga w zwalczaniu wszelkich dolegliwości, takich jak ból głowy i stawów, a poprzez zwiększenie produkcji serotoniny pomaga w leczeniu depresji, nerwicy i stanów lękowych. Dzięki nauczycielowi hathajogi Bellurowi



Krishnamacharowi Sundararajowi Iyengarowi nie ma tak naprawdę granic dla praktykujących. Wprowadził on do ćwiczeń znaczne udogodnienia, jak np. używanie ławek i poduszek, które mają pomóc w trudniejszych asanach. Dzięki tej niewielkiej zmianie, nie gra roli wiek i umiejętności uczniów.

Kolejny rodzaj jogi opiera się nie tyle na sferze magii, co na założeniu, że w naszym ciele istnieją punkty, tzw. czakry, w których przecinają się kanały energetyczne *nadi*, a więc i kumuluje się tam nasza energia (*prana*). W sanskrycie słowo „czakra” znaczy w dosłownym tłumaczeniu „koło”. Ma to obrazować kształt czakramów. Miejsca te, odpowiadają za to co czujemy i myślimy. Joga czakr ma za zadanie pomóc nam w zniwelowaniu negatywnych uczuć i myśli, które blokują kanały energetyczne i odbierają si- ►

Wpływ jogi na ciało człowieka

łę do działania. Pomaga odblokować każdą kolejną (z siedmiu umiejscowionych wzdłuż kręgosłupa, od podstawy do czubka głowy), stopniowo przywracając równowagę duchową i fizyczną. Pierwsza czakra - *muladhara* („mula” oznacza korzeń, a „adhara” wsparcie) - ma pełnić w naszym organizmie rolę tąką, jak korzeń w konstrukcji drzewa. Jeśli jest słaba, cały organizm źle funkcjonuje. Odpowiada za naszą



pewność siebie, więc jej zaburzenia prowadzą do niepewności i popadania w stany lękowe. Kolejna czakra *svadhisthana* („sua” oznacza „coś, co jest moje”, a „dhisthana” - „obecne miejsce tego, co jest moje”) jest odpowiedzialna za kreatywność i życie seksualne. Według teorii jogi czakr, czakram sakralny odpowiada za wymianę energii pomiędzy kochankami w trakcie stosunku. Trzeci punkt skumulowanej energii (czakra splotu słonecznego - „mani” i „pura”, czyli dosłownie „klejnot” i „miasto”) odpowiada za opanowanie negatywnych emocji, takich jak złość, nienawiść, chciwość, etc. Dzięki odpowiednim ćwiczeniom jesteśmy w stanie rozwinąć asertywność i siłę psychiczną. To nad tym obszarem pracujemy najintensywniej podczas wykonywania kolejnych asanów. Czakra serca (*anahata* - „niepokonana”) odpowiada za nasze pozytywne uczucia - miłość, współczucie, utrzymanie równowagi. Uwrażliwia nas ona na piękno otaczającego świata i sztuki. Jeśli jednak zostaje osłabiona, stajemy się nadwrażliwi i bardzo łatwo nas zranić. Czakra gardła, czyli *visuddha* („absolutna czystość”) jest łącznikiem pomiędzy czakrami dolnymi i górnymi (między ciałem a duchem). Odpowiada za naszą zdolność wyrażania własnych myśli. Jeśli zostanie osłabiona pojawiają się problemy w kontaktach międzyludzkich. W przypadku nadczynności można mówić o nachalności i niepotrzebnej gadatliwości względem rozmówcy. Czakra szóstą - trzeciego oka w sanskrycie posiada nazwę „ajna”, co oznacza „dowództwo”. Odpowiada za zdolność widzenia, nie tylko w znaczeniu dosłownym, a i metaforycznym, odnosi się więc do posługiwania intuicją, mądrością, widzenia abstrakcyjnego i spoglądania w przyszłość. Ostatnia jest czakra korony (*sahasrara* - „posiadająca tysiąc płatków”). Odpowiada za odczuwanie otaczającej rzeczywistości na poziomie duchowym. To za jej pośrednictwem przekazujemy na zewnątrz energię. Nie występują w niej blokady, a jedynie różne poziomy rozwoju. Istnieją poszczególne asany, których zadaniem jest odblokowanie tych punktów w naszym organizmie. Kiedy odpowiednio funkcjonują, łatwiej jest osiągnąć zgodę z samym sobą. Ponadto wpływa to na naszą równowagę psychiczną (czakra splotu słonecznego i czakra korony), odpowiednie funkcjonowanie układu moczowego (czakra sakralna), serca i gruczoły (czakra serca).

Kolejnym popularnym rodzajem jogi jest Ashtanga. Skupia się na połączeniu ze sobą ruchu, oddechu i koncentracji. Potrzeba tu sporej dozy zaangażowania, ponieważ jednym z ważniejszych czynników



jest regularność praktyk. Sekwencje Ashtangi są ustalone. W przeciwieństwie do innych rodzajów, bez problemu opanujemy ją sami w domowym zaciszu. Jedyne, co będzie się na przestrzeni lat zmieniać, to łatwość, jaką zyskamy przy kolejnych asanach. Mięśnie i stawy uelastycznią się, a dla nas pozycje staną się naturalne niczym chodzenie. Niezmienność każdego treningu pomoże też odnaleźć spokój w otaczającym nas chaosie. Nie można tu też mówić o nudzie, ponieważ Ashtanga zawiera takie pozycje jak np. stanie na głowie (*Śirsasana*, czyli zmora wielu praktykujących), którego to opanowanie trwa czasem nawet kilka lat. Warto jednak pamiętać, że aspekt fizyczny praktyk (rozciąganie ciała) to dopiero „przedsionek” prawdziwej jogi. Istotne okazują się tu dopiero kolejne etapy. Z uwagi na ogromną rolę oddechu pomaga osiągnąć wewnętrzną harmonię. Reguluje też pracę serca i wpływa na odpowiednie dotlenienie organizmu. Ponadto uaktywniając w pozycjach równoważnych obie półkule mózgu, pomaga przeciwdziałać starzeniu się mózgu.

Reasumując, w kulturze zachodniej joga jest utożsamiana z ćwiczeniami fizycznymi (*asany*), czyli pozytywnym wpływem jaki wywierają na ciało. Łączą się z ćwiczeniami oddechowymi (*pranajamy*, *Ujjayi*), wpływającymi na zdolność koncentracji. Ich zadaniem jest osiągnięcie wewnętrznej harmonii, osiągnięcie maksymalnego skupienia i wyciszenie zmysłów. Dzięki wszechstronnej aktywności, z jaką spotykamy się przy praktykowaniu, następuje poprawa ogólnej kondycji, zwiększenie odporności organizmu, czy nawet regeneracja organów wewnętrznych. Ponadto udowodniono, że wpływa pozytywnie także na mózg. Podczas ćwiczeń zanotowano wyższy poziom kwasu gamma-aminomasłowego, neuroprzekaźnika odpowiedzialnego za zmniejszenie pobudliwości i rozluźnienie mięśni. Osiągając harmonię pomiędzy ruchem a oddechem, mamy szansę osiągnąć ją też w funkcjonowaniu organizmu, co z kolei prowadzi do zniwelowania takich chorób jak stany lękowe, nerwice czy depresja.





Adam Kempa

Sztokholm

Człowiek jako istota (nie)rozumna wielokrotnie wpada w sidła wewnętrznej potrzeby kategoryzowania otaczającego go świata, a nawet własnych przemysłów. Są tacy, którzy próbują się wyrwać temu schematowi, niemniej prawdopodobnie nie dojdzie do wielce krzywdzącej generalizacji jeśli stwierdzimy, że każda indywidualność to poniekąd zbiór kategorii: poglądów, uprzedzeń, upodobań. Czy taka aktywność jak słuchanie muzyki może okazać się również owocem takiego kategoryzowania? Z pewnością. Nie pokuszę się o stwierdzenie czy to dobrze, czy źle, gdyż jestem do tego zbyt krótki, ale za to z dość silnym przeświadczeniem racji pragnę ostrzec, by tak przyjemna, potrzebna i wcale praktyczna aktywność, jak słuchanie muzyki nie stała się ofiarą takiego właśnie kategoryzowania. Co ponieważ purysci muzyczni często ograniczają się do swoich zaszufladkowanych preferencji, inni też tworzą daleko idące opinie, zapowiadające koniec muzycznej epoki – punk is dead, rock się wyczerpał, itp. Jedno z takich twierdzeń atakuje bohatera dzisiejszej recenzji, muzykę elektroniczną, uznając ją za niezwykle monotonną i skończoną. Ja postaram się udowodnić, że muzyka elektroniczna, jak każda inna, jest wycinkiem czegoś nieskończenie wielkiego -

- sztuki, której zasoby nie wyczerpią się nigdy, a ładunki świeżości da się znaleźć codziennie, jeżeli ktoś wie gdzie szukać. Toruńska grupa Sztokholm wydała w pierwszym kwartale tego roku wydawnictwo *Poczuj EP*, którą polecamy wszystkim tym, którym muzyczna elektronika zdaje się prymitywną i powtarzalną formą. Oczywiście z tego powodu, że ten minialbum ma ogromne szanse rozkochać w sobie sporą liczbę zarówno fanów, jak i elektronicznych malkontentów.

Sztokholm z pewnością nie popełnia błędów wielu współczesnych zespołów grających szeroko pojętą elektronikę: nie są nierozpoznawalni. Kwartet ten od samych początków swojego tworzenia udowadnia, że ma na siebie pomysł, dba o pielęgnowanie i rozwój swojej estetyki oraz nie zapomina o detalach. Materiał na *Poczuj* ma producencki charakter, obfituje w bogate aranżacje i nowoczesne rozwiązania. Nie jest to muzyka rewolucyjna – muzycy operują na raczej nieskomplikowanych formach muzycznych. Można oczywiście przywołać podobieństwa do klasyków gatunków techno czy idm, takich jak Moderat czy Siriusmo. Najważniejsze jednak, że przy tych inspiracjach udało się Sztokholmowi stworzyć własny język kompozytorski:



fot. Małgorzata Orechwo



wyróżniające się sample wokalne o „perkusyjnym” zastosowaniu, wszędobylski, bogaty rytm czy charakterystyczne operowanie filtrem. Mnóstwo w muzyce Sztokholmu detali, co sprawia, że nie znajdziemy w ich utworach dwóch identycznych taktów. Gdy dodamy do tego bardzo charakterystyczne wokale Kacpra Wąsikowskiego, Ariela Śliwińskiego oraz dwóch gości: Sary Sławińskiej o Magłosi Gorgol – otrzymamy wypadkową muzyczną tej formacji, którą można albo pokochać, można znienawidzić.

Warstwa muzyczna to z pewnością najsilniejsza broń jaką dysponują. Odpowiedzialny za kompozycje Szymon Wigienka ma talent do pisania nienudnego techno. Do miksów zatrudniono Michała Kupicza, uznanego polskiego producenta, który przypilnował by ścieżki Sztokholmu zabrzmiały szeroko i selektywnie. Warto słuchać tej muzyki na słuchawkach i wpaść w trans brzmień, które trwają w bezustannej podróży dookoła uszu słuchacza – utwór *Białe Serca* mógłby z powodzeniem być pięć minut dłuższy, jego środkowa partia instrumentalna to popis umiejętności muzycznych grupy. Wydłużone intro do *Spokojnych Noc* to również strzał w dziesiątkę.

Czy w takim razie epka Sztokholmu to dzieło nieskazitelne? Odpowiedź nie należy do najprostszych. Owszem, szukający znajdzie bowiem sporo „dyskusyjnych” elementów. Sam znajduję na tym nagraniu takie elementy, które mnie irytują, niemniej zachowuję przy tym pełną świadomość, że mowa tutaj o subiektywnych upodobaniach, które równie dobrze mogą okazać się ulubionymi aspektami fanów Sztokholmu.

Pierwszym takim aspektem są tutaj wokale – konsekwentnie od debiutanckiego *Dźwięk. Miłość. Pulsujące światło EP* wokaliści przyjmują manierę śpiewu, do której można się zrazić – melodie są wykonane jakby półgłosem, przypominającym wzdychanie. Podobnych ekspresji wokalnych jest na nagraniu sporo w postaci wspomnianych już sampli, przypominających gdzieś tam soundtrack do serialu *Utopia wdechów* czy wyciętych z linii melodycznej sylab, traktowanych rytmicznie jako element instrumentalny. Kolejną składową sztokholmskiej etykiety są teksty oraz pewna zbieranina sztandarowego słownictwa, które pojawia się tu i ówdzie w formie hasztagów. Takie słowa jak „wdech”, „spliff”, „squad”, czy częsta tematyka onirycznej miłości i ogólna atmosfera ulotnej romantyczności pojawiają się przytłaczająco często. Jest to chyba największy minus tej płyty, gdyż niebezpiecznie blisko w tekstach Sztokholmu do niejakości i braku treści. Tym większy zawód, że dwoje zapro-

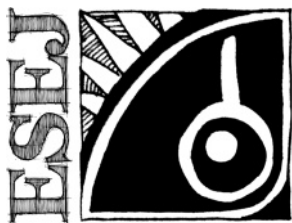


fot. Małgorzata Orechwo

szonych wokalistek nie uciekło od tej regularności. Estetyka ta może co prawda do niektórych słuchaczy, w tym mnie, nie trafiać, niemniej być może warto jej bronić, gdyż nie można zarzucić grupie braku oryginalności. Jestem bardzo ciekawy czy ta charakterystyczna doza słowno-muzycznego dekadentyzmu rozwinie się w coś bardzo ciekawego i urosnie do atutu grupy.

Zdecydowanie największą krzywdą jaką sobie i grupie Sztokholm wyrządziłem, jest to, że ciągle nie usłyszałem jej na żywo. A okazji nie brakuje – toruńskie koncerty dosyć regularnie i wystąpili dopiero co na Spring Breaku, co powinno przełożyć się na ich popularność. Tego im życzę, a państwu nie popełniania mojego błędu i wybraniu się na ich koncert przy pierwszej najbliższej okazji.

<https://sztokholm.bandcamp.com/>
Poczuj EP
Dźwięk. Miłość. Pulsujące światło EP



Paweł Szala

Laura Palmer dotrzymała słowa

Piszac ten tekst jestem przed premierą 3. sezonu *Twin Peaks*. Jeśli nie znasz pierwszej i drugiej serii serialu i wolisz poznać je na własną rękę, nie czytaj dalej, ponieważ tekst zawiera drobne spoilery.

Bardzo obawiam się 22 maja. To dzień, w którym po 27 latach na ekrany wróci kultowy serial *Twin Peaks*. Produkcja, która odmieniła telewizję i bez wątpienia wyznaczyła kierunek, w jakim mają pójść seriale.

Jeszcze jakiś czas temu serial nie istniał w takiej formie, w jakiej jest teraz. Kojarzył się z kiczem i tandetą, jak większość masowych produkcji kinowych. Dzisiaj ogląda je niemal każdy. W erze dostępu do Netflixa czy innych platform z całą gamą seriali (pozytywnie zakładam docieranie do dóbr kultury w legalny sposób), samotni ludzie wolą spędzać wieczory oglądając kilka odcinków sezonu naraz w ciągu kilku godzin.

Dokładnie pamiętam jak zaczęła się moja przygoda z *Twin Peaks* i z pierwszym sezonem *True Detective*, który nota bene, mimo że nie jest aż tak kultowy, jest równie świetny. Włączając późnym wieczorem pierwszy odcinek z serii, położyłem się spać dopiero wczesnym rankiem. Po zakończeniu drugiego sezonu szukałem kontynuacji i byłem zrozpaczony, gdy

okazało się, że to koniec. Produkcja stworzona przez Davida Lyncha i Marka Frosta po prostu wgniotła w fotel i pozostawiła trwałą ślad w psychice. Do tego stopnia, że muszę o tym pisać!

Będąc na fali zapowiedzi trzeciego sezonu serii, pod koniec minionego roku odświeżyłem omawianą produkcję. Kupiłem nawet książkę Marka Frosta *Sekrety Twin Peaks*, jednak seria *Moja walka* Karla Ove Knausgård od wielu miesięcy dopomina się o przeczytanie (a po 5 latach studiowania filologii polskiej nie mam najmniejszej ochoty czytać kilku rzeczy naraz, jeśli nie muszę). Książka Frosta była reklamowana jako niezbędne narzędzie do tego, aby zrozumieć akcję nowego sezonu. Swoją drogą, przydałaby się pozycja, która byłaby podobną pomocą przy ogarnięciu dotychczasowych dwóch serii...

Zapoznałem się jedynie z jednym rozdziałem, i muszę zdradzić, że autor zagłębia się bardzo głęboko w duchowy wymiar problematyki *Twin Peaks* i łączy go z wierzeniami Indian i wolnomularstwem... Nikt nie wie, jaka będzie fabuła trzeciej serii. Wydaje mi się, że opublikowane oszczędne trailery miały na celu tylko podsycać niedosyt oczekujących widzów. Jednak, jak to zwykle bywa, jedni cieszą się na powrót *Twin Peaks*, drudzy zakładają, że serial okaże się kompletną klapą i skokiem na kasę ze względu na


welcometotwinpeaks.com



spidersweb.pl

dzisiejszą popularność seriali, a inni mają to gdzieś. Osobiście należę po trochu do każdej z tych grup. (Dokładnie! Jak nie obejrzę serialu od razu, to nic mi się nie stanie!). Nie wiem, czy to najrozsądniejsze, ale na pewno bardzo wygodne, bo przy każdym możliwym scenariuszu będę mógł odpowiedzieć: „A nie mówiłem?”

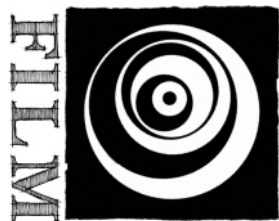
Cieszę się z tego, że wraz z premierą znowu zobaczę wielu bohaterów, których polubiłem i za którymi tęsknię. Ciekawe, czy wracający z Czarnej Chaty Dale Cooper ciągle będzie miłośnikiem dobrej kawy i placka z wiśniami, czy usłyszymy z jego ust zwrot „Diane...” wypowiedziany do dyktafonu (albo raczej, jak na dzisiejsze czasy przystało, do cyfrowego sprzętu do nagrywania). Na marginesie, właśnie wyobraziłem sobie emerytowanego agenta Coopera nagrywającego vlogi: „Diane, dzisiejsza kawa była świetna... Jeśli podobał ci się film i dzięki temu materiałowi przyjdiesz tutaj na filiżankę małej czarnej, daj łapkę w górę i zasubskrybuj ten kanał”

Spotkamy się jeszcze m.in. z Laurą Palmer, Dużym Edem, Andym i Lucy. Niestety kilku znanych twarzy nie zobaczymy ze względu na śmierć aktorów. Zabraknie Franka Silvy, grającego przerażającego Boba, Jacka Nancego, czyli serialowego Peta Martella oraz innej, bardzo ważnej postaci, majora Garlanda Briggsa, granego przez Dona S. Davisa. Jednak nie ma co ukrywać, że nada to trzeciej serii bardzo naturalnego wymiaru. Wraz z aktorami odeszli ludzie z miasteczka Twin Peaks.

Mam wielką nadzieję, że serial mnie nie zawiedzie. Widzowie, którzy znają twórczość Davida Lyncha wiedzą, że reżyser potrafi trzymać poziom i jeśli czegoś się chwytą, to zamienia to w bardzo nietuzinkowe złoto. Jednak mimo wszystko pozostaje obawa, że coś może pójść nie tak. Pełnometrażowy film *Twin Peaks: Ogniu krocze ze mną*, będący zarówno prologiem jak i epilogiem dwóch sezonów, nie zachwyił publiczności. Trudno nie doszukiwać się w planach stworzenia trzeciej serii chęci zarobienia pieniędzy na czymś, co się dobrze sprzedaje. Z drugiej strony, jak już wspomniałem, seriale są inne, niż kiedyś. Jesteśmy świadkami trendu, w którym reżyser woli przedstawić historię w kilka lub kilkanaście godzin, zamiast w 120 minut. Wiele ze współczesnych seriali to tak naprawdę bardzo długie filmy, podzielone na części.

A może w oczekiwaniu na trzeci sezon *Twin Peaks*, spróbujemy być trochę naiwni? Doskonale wiemy, co Laura Palmer powiedziała do Dale’a Coopera w Czarnej Chacie.





Mateusz Lubiewski

Sci-Fi w kinie PRL

Filmografia PRL z wiadomych względów nie była specjalnie nasycona tytułami z kręgu szeroko rozumianej fantastyki. Supremacja realizmu jako sposobu opowiadania była w tym okresie bezwzględna, jednakże bez trudu można znaleźć kilkanaście realizacji z zakresu kina grozy, fantasy czy science fiction, które warte są uwagi. Do grona zaciekawiających nie sposób nie zaliczyć tetralogii Piotra Szulкина z pierwszej połowy lat 80., na którą składają się de facto wszystkie jego pełnometrażowe produkcje z czasów Rzeczypospolitej Ludowej, kolejno: *Golem* (1979), *Wojna światów – następne stulecie* (1981), *O-bi, o-ba. Koniec cywilizacji* (1984), *Ga, ga. Chwała bohaterom* (1985).

Mówi się o tetralogii choć więzy łączące poszczególne filmy nie są, aż tak wyraziste – każda pojedyncza część jest jednocześnie samodzielną i pełnoprawną całością, którą można oglądać w oderwaniu od reszty. Nie mamy praktycznie żadnych powiązań fabularnych czy postaciowych (choć tak naprawdę główni bohaterowie kolejnych części są uniwersalnym *everymanem*); za zwartość odpowiadają: konsekwentna warstwa ideowa i estetyczna, specyficzne operowanie alegorycznością i, co paradoksalnie bardzo skuteczne – stała baza aktorska, zresztą wyśmienita, składają się na nią m.in.: Marek Walczewski, Krzysztof Majchrzak, Krystyna Janda, Jan Nowicki, Henryk Bista, Jerzy Stuhr. Najważniejsza jednak jest wymowa ideowa. To ona jest tym, co pozwala nam widzieć te filmy jako kompleks.

W czasie pierwszych emisji tych filmów dawało się łatwo odszyfrowywać je poprzez klucz polityczny. Taką też interpretację niektórzy uważają za dominującą, a i sam Szulkin czasem wskazuje na ten trop. Dlaczego czasem? Jest on niezwykle niekonsekwentny w wypowiedziach na temat swojej twórczości. Częstokroć można było wyczytać skrajnie różne autorefleksje autora – a to, że jest to reakcja na zawirowania wewnętrzpaństwowe, a to, że jest to wyłącznie rozważanie na płaszczyznach filozofii i socjologii, wysnute w separacji od zdarzeń aktualnych. Dziwi to trochę, bo kino to wydaje się być ponad wszelką wątpliwość konglomeratem zbudowanym z tych trzech płaszczyzn. Zgadzam się z Szulkinem, że dużo w tych filmach dwudziestowiecznego egzystencjalizmu europejskiego. Zgadzam się, że przebija się sporo socjologicznych rozważań na temat: jednostka kontra zbiorowość. Trudno się jednak zgodzić, co do apolityczności, kiedy chociażby

pojawiają się chociażby podejrzenie podobni do zomowców Marsjanie. Zupełnie jest to bez znaczenia, zastanawia tylko powód dość ostrego i częstego odżegnania się od tego tropu, jakby miał w jakikolwiek sposób deprecjonować te filmy.

Wracając jednak do wewnętrznych połączeń. Bez względu na wspólnym mianownikiem tetralogii są bliźniaczo podobne postacie głównych bohaterów (zresztą wyśmienie wykreowane przez ich aktorów – chronologicznie: M. Walczewski, J. Stuhr, R. Wilhelmi, D. Olbrychski). Każdy z tych bohaterów jest wrzucony w nieprzyjazny świat, w którym, za Sartrem i w dalszej kolejności (jaksam autor sobie życzy) za Szulkinem, piekło to inni. Te światy kreowane są dość konsekwentnie, choć z różnymi efektami. To samo się tyczy płynności narracji czy jakości opowiadania. Pod tymi dwoma względami *Golem*, a przede wszystkim *Ga, ga. Chwała bohaterom* wysuwają się przed szereg. Również operowanie symbolami i alegoriami wychodzi raz lepiej, raz gorzej. Szulkin, prezentując filmowe światy, dość wyraźnie korzysta z metod Kafki czy Camusa, problemem jednak jest to, że tego działają one doskonale tylko w hiperprecyzyjnych realizacjach, a to nie zawsze Szulkinowi wychodzi. Choć rodzi się tutaj pytanie czy koniecznie musi wychodzić tak bardzo precyzyjnie, żeby było dobrze?

Science fiction ma to do siebie, że jest gatunkiem rozrywkowym, który ma duży potencjał do przenoszenia pod pokładem najgęstszej metafizyki wraz z doczepionymi do niej demonami i pułapkami rozumu. Nieschodząca dolny pokład, cały czas mamy możliwość czerpania satysfakcji z gry wewnątrz konwencji, a nie zaskoczy nikogo, że w niskobudżetowych warunkach Polski lat 80. musiała ona prezentować się bardzo oryginalnie. Reżyser zupełnie się nie sili na jakąś kreatywność technologiczną, a umiejętnie korzysta z tego co ma i zyskuje na fackie ograniczeń. Niezwykle niedbale (ale elegancko) i wybiórczo korzysta z ekwipażu *sci-fi*. To czego używa ma dwie jasne funkcje – kreacja specyfiki przestrzeni oraz sygnalizowanie odbiorcy: to co się tu dzieje jest przypowieścią.

Tak jak wyprowadzony z legendy i prozy Meyrinka *Golem*. Obraz estetycznie kojarzy się z Sanatorium pod Klepsydrą Hasa, dodawszy do tego ciekawie porwany ciąg narracji i tajemniczo przeskakujące sceny przypominające kolejne rozdziały Procesu, łatwo możemy wyobrazić sobie dominujący w filmie na-



kadr z filmu Ga, ga. Chwała bohaterom (1985) / vod.pl

strój. Bohaterowie uczestniczą w jakimś zbiorowym szaleństwie, które kontrolowane jest centralnie przez konspirację lekarzy, stosujących niezbyt etyczne metody do wypalania w glinie nowych ludzi.

Ciekawie wygląda również sytuacja w *O-bi, o-ba. Koniec cywilizacji*. Ci, którzy przetrwali wojnę atomową zostają ulokowani w wysokogórskim schronieniu. W tym piekielnym azylu, jedyne co podtrzymuje wegetację ludzi to nadzieja na przybycie mitycznej Arki, której istnienie negują zarządcy. Niestety rozwiązanie wybiera przeciwny kierunek, aniżeli wiara oczekujących – chroniąca przed postatomową zimą kopuła schronu pęka, a nieświadomy, zahipnotyzowany tłum rusza w kierunku światłości i pozornego ocalenia, które w istocie jest zgubą. W ten sposób otrzymujemy niezłą rozprawę na temat socjotechnik wiary i socjologii religii.

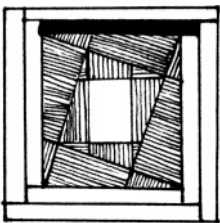
Przedostatnia w kolejce jest *Wojna światów - następne stulecie*, traktująca o roli mediów w społeczeństwie. Grany przez Wilhelmię bohater Iron Idem jest prezenterem telewizyjnym, który jest zmuszany do przedstawiania rzeczywistości w zgodzie z wytycznymi władzy. Również i ten bohater Szulкина musi toczyć beznadziejną walkę ze wszystkimi, kończącą się zresztą tragicznie, kiedy zostaje uznany za zdrajcę, a w konsekwencji na śmierć przez symulakryczne rozstrzelanie.

Nie mniej symboliczny jest ostatni obraz *Ga, ga. Chwała bohaterom*. Rozważa on heroizm codzienności, kwestie relacji oraz pochodzenia winy i kary, wreszcie zadaje klasyczne pytanie *unde malum?*

Tutaj również odnajdziemy wiele aluzji do tradycji judeochrześcijańskiej. Najciekawszą jest wątek finałowy, kiedy to główny bohater ma zostać nabity na pal, a jego oprawcy pozwalają mu wybrać prawy czy lewy – środkowy nie wchodzi w grę.

W latach 1979-1984 zaobserwowano wzrost aktywności nurtu literackiego określanego jako fantastyka socjologiczna, którego cechowały: autorytarne lub totalitarne społeczeństwo kontroli, rządzący nimi z ukrycia przedstawiciele obcych cywilizacji i anarchiczny bohater. I Szulkin wydaje się być filmowym samotnikiem, korzystającym z tego dorobku, ale i też go współtworzącym. Ta oryginalność i unikatowość, połączone z przyzwoitą realizacją to główne powody dla którego warto przybliżyć sobie twórczość tego autora. Dużo w tej wizji pesymizmu, szczególnie kiedy idzie o ilustrowanie kondycji społeczeństwa, dużo też, czasem za dużo, frustracji tym wywołanej, mimo to, w ogólnym rozrachunku jest kino godne uwagi, kontemplujące i refleksyjne, ale i ciekawe formalnie. Dla zainteresowanych realizacjami wizji postapokaliptycznych, mrocznych i wyzutych z nadziei dystopii pozycja obowiązkowa.

FELIETON



Adam Kempa

Nie musi brzmieć dobrze, a zawód akustyka

Ze stosunkowo niespodziewaną przyjemnością przyszło mi zajmować się obsługą nagłośnieniową w zaprzyjaźnionym bydgoskim klubie. Niespodziewaną – a to dlatego, że będąc umiarkowanie biegłym w temacie, nigdy w życiu nie otrzymałem formalnego wykształcenia w tym areale. Niemniej muzyka i dźwięk były i są mi bliskie od początków dojrzewania, zdołałem zebrać doświadczenia produkcji muzycznej i przebywania w korzystnych miejscach o adekwatnym czasie, a natura zawodu akustyka nigdy nie wymagała ode mnie przedstawienia komukolwiek tzw. papierów; jedyne co musiałem udowodnić, to podstawowe umiejętności i gotowość do pracy. Po prawie półtora roku zbierania doświadczeń w tej osobliwej branży mogę mówić, że z pewnością rozwinałem się w aspektach technicznych i wykonawczych (łatanie z kablami i kręcenie gałeczkami), ale czymś dużo ciekawszym okazała się społeczna, socjologiczna strona tego przedsięwzięcia. Bycie akustykiem jest bowiem perfekcyjną okazją podglądania życia artystycznego pod wieloma kątami. I często mam wrażenie, że do zauważenia cudownych prawidłowości i przygód tego środowiska potrzeba właśnie kogoś "z zewnątrz". Potrzeba ama-

tora, niezniszczonego uzależnieniami sprzętowych nowinek entuzjasty, niewiele zorientowany w perfekcyjnych metodach nagłaśniania sprzętem wartym kilkanaście wypłat wszystkich redaktorów *Splotu Nieskończoności* razem wziętych.

Oczywiście, pierwsze koncerty, które samodzielnie przygotowywałem były wyłączną miksturą wysiłku i stresu, czy wszystko pójdzie zgodnie z planem, czy muzycy słyszą się dobrze, a czy publiczność nie zginie katorżniczą śmiercią ogłuszenia na skutek zaskakującego sprzężenia. Jednakże oswojenie się ze sprzętem przyszło dosyć szybko. Proszę sobie nie wyobrażać jednak, że jest to praca łatwa, gdyż jak wielu kolegów w branży potwierdzi, akustyk zatrudniony na stałe w klubie często zajmuje się wieloma rzeczami. Przyjeżdża pierwszy utworzyć klub, oprowadza zespół, pilnuje ogólnego zadowolenia i stara się świecić profesjonalizmem. Po koncercie przebywa w garderobie, odprowadza do hostelu.

Wszystkie te doświadczenia przełożyły się do różnych przemyśleń na temat zawodu artysty i podejścia różnych muzyków do swojego przedsięwzięcia. Próby dźwiękowe Wawrzyńca Dąbrowskiego przy dwukrotnej okazji współpracy z jego zespołami





Letters From Silence oraz *Henry David's Gun*, trwały ponad dwie godziny, za sprawą dążenia artystów do osiągnięcia idealnego brzmienia (w przyjemnej atmosferze), natomiast niewiele mniej wymagająca sprzętowo formacja *Złota Jesień* ogłosiła gotowość po pół godzinie, dorzucając w komentarzu coś pomiędzy „dłużej sprawdzać już nie wypada”, a „nie musi brzmieć dobrze”. Zdarzały się też przypadki takich scenicznych wyjadaczy jak *LXMP* czy *Zespół Cieśni i Tańca*, których soundcheck obejmujący kilkanaście instrumentów odbył się właściwie błyskawicznie. Często to ja przeciągałem proces celem znalezienia dobrych ustawień, a zdecydowanie zbyt często byłem jedyną osobą w pomieszczeniu niezadowoloną z efektów swojej pracy. Co ciekawe, wszystkie wymienione przeze mnie zespoły zaprezentowały najwyższy poziom kunsztu na koncercie, który każdorazowo angażował publiczność na najbardziej satysfakcjonującym poziomie artystycznym. Jaki w takim razie wpływ na odbiór muzyki ma techniczny aspekt dźwięku? W poprzednim numerze *Splotu* red. Katarzyna Stępień zgłębiała tajniki częstotliwości i strojenia instrumentów, w sposób który brzmi najbliżej naturze. Nie sposób nie zgadzać się z prawdami fizyki, zresztą nie zachodzi nawet taka potrzeba, w Internecie łatwo znaleźć porównanie tego samego utworu w stroju 440Hz i 432Hz. Nawet laicy, często nie rozumiejąc dlaczego, przyznają, że obniżona forma brzmi lepiej.

Czy oznacza to, że istnieje metoda idealnego podania dźwięku naszym uszom? Czy w warunkach koncertowych da się to odwzorować? Podam odpowiedź, która przez każdego akustyka powinna zostać odebrana jako samobójstwo – nie ma to znaczenia. Oczywiście zapewnienie standardów, które zadowalają wszystkich zaangażowanych jest wymagane i odstępstwa od nich traktują o braku prawidłowego podejścia. Niemniej nie powinno się zapominać, że najważniejszą warstwą, jaką prezentuje wykonawca na scenie, jest sztuka. A jako że koncert jest świętem sztuki, na którym podane zostają nie tylko utwory muzyczne, ale też materialny, bliski człowiek, którego oddech można poczuć, jeżeli stanie się wystarczająco blisko, który pokonuje instrument i spocony schodzi ze sceny. Być może improwizacyjny profil artystyczny klubu, w którym pracowałem, dał asumpt do wysłuchania większej ilości występów o takim charakterze, niż przypadkowy koncertowicz doświadcza, lecz nie ma to znaczenia w obliczu lekcji, jaką wynoszę z tych przeżyć. Tym ważniejszą, w obliczu obecnych trendów sterylizacji dźwięku, realizatorskiego fenomenu „wojny głośności”, polegającemu na zabijaniu naturalnej dynamiki instru-



mentów, tak by dobrze się ich słuchało na tanich głośnikach piętnastoletniego Forda.

Niestety nie udało mi się wypracować metody rozpoznawania podczas próby dźwięku czy koncert będzie udany, czy nie. Pewien akustyk z Warszawy podzielił się kiedyś żartem, że zawsze gdy przychodzi mu nagłośnić jakiś młody zespół rockowy, podchodzi do nich przed koncertem zapytać, czy życzą sobie equalizację pozytywną, czy negatywną (oba terminy są wymyślone przez niego i nic nie znaczą). Zespoły, które z pełnym zaangażowaniem i przekonaniem opowiadały się za którąś z możliwości były automatycznie przez kolegę akustyka niepoważnie traktowane.

Mam nadzieję nigdy nie być takim akustykiem, bądź takim odbiorcą muzyki.





Katarzyna Stępień

Być jak Aldous Huxley w Bydgoszczy

Jest takie miejsce w Bydgoszczy, o którym naszym dziadkom się nie śniło. Nie chodzi o anarchistyczną restaurację czy kino prezentujące jedynie filmy pornograficzne. Mowa tu o szkole jogi umiejscowionej na ulicy Pomorskiej 15. Alchemia Yogi, bo tak zwie się to miejsce, funkcjonuje w Bydgoszczy od kilku lat. Nauczyciele skupiają się na trzech różnych rodzajach jogi. Są to kolejno Hatha joga wg Iyengara, Asthanga Joga i Kundalini Joga.

Hathajoga charakteryzuje się skupieniem na kontroli oddechu (tzw. *pranajama*), wykonywaniu odpowiednich pozycji (*asanów*) i na sześciu procesach oczyszczających *krija*. Te ostatnie są technikami indywidualnymi, wchodzącymi w skład *sadhany*, czyli środków realizacji ucznia (np. wypowiadanie mantr). Słowo to pochodzi od sanskryckiej części *kri*, oznaczającej robić, czynić. Hathajoga odchodzi w swoich technikach od aspektu metafizycznego. Skupia się więc bardziej na praktykach ezoterycznych i fizycznych. Różni się tym od klasycznych technik

jogi, które dążą do osiągnięcia perfekcyjnej równowagi pomiędzy ezoteryką a metafizyką. Celem hathajogi jest uzyskanie mocy ponadnaturalnych, takich jak zwycięstwo nad procesem starzenia, chorobami i śmiercią. Nie wszystko jednak różni się tu od klasycznych technik. Tak samo praktykujący są zobowiązani do przestrzegania zakazów i nakazów moralnych (*nijama i jama*) oraz dążenia do samadhi (głęboka koncentracja osiągniata podczas medytacji). B.K.S. Iyengar jest natomiast jednym z największych współczesnych autorytetów w hathajodze. Od 16 roku życia uczył się u swojego szwagra, ojca współczesnej hathajogi, Sri Tirumalai Krishnamacharyi. Poszedł on o krok dalej od swojego nauczyciela i stworzył własną metodę polegającą na precyzyjnym ustawianiu ciała w asanach i używaniu wielu pomocnych przedmiotów, takich jak koce, wałki czy łańki. Dzięki temu ćwiczenia możliwe są dla osób w każdej kondycji fizycznej. Sam Iyengar udzielał lekcji m.in. Aldousowi Huxleyowi, belgijskiej królowej Elżbiecie i Yehudowi Menuhinowi.



fb.com/alchemiayogi/



Pomimo, iż obecnie w Polsce największą popularnością cieszy się joga Iyengara, warto przyjrzeć się innym rodzajom. Asthanga Joga opiera się na dynamicznym powtarzaniu, zawsze w tej samej kolejności, całych serii niezmiennych asanów. Składa się z 6 różnych serii (zwanych też *Vinyasa*, dosł. płynne wejście i wyjście z asanu). Obecnie praktykuje się jednak tylko pierwszą z nich, a mianowicie Jogę Chikitsa, która składa się z 45 pozycji. Ćwiczenia zawsze poprzedza Powitanie Słońca. Bardzo ważny jest tu też sam proces oddychania. Oddech *Ujjayi* (nazywany też oddechem oceanu, albo oddechem zwycięcy) polega na zmniejszeniu przepływu powietrza na wysokości gardła, co z kolei prowadzi do wzmocnienia wymiany tlenu i krążenia krwi. Technika ta pomaga zwiększyć koncentrację, dzięki czemu praktykujący jest w stanie wytrzymać dłużej w asanie. Korzyści umysłowe, polegające jak w każdej technice na osiągnięciu punktu końcowego, czyli oświecenia, będą możliwe jedynie przy połączeniu wszystkich koniecznych czynników. Warto więc pamiętać, że Asthanga bez *Ujjayi* nie będzie Asthangą, a zwykłymi ćwiczeniami przypominającymi np. fitness. Uprawianie tego rodzaju jogi jest jednym z najbardziej specyficznych rodzajów wysiłku fizycznego. Pomaga wzmocnić i uelastycznić mięśnie i ścięgna. Po kilkunastu zajęciach organizm zaczyna naturalnie i płynnie przyjmować kolejne asany. Ponadto, ze względu na istotną rolę oddechu, korzystnie wpływa na dotlenienie organizmu i prawidłową pracę serca.

Kundalini Joga nazywana też drogą „wojownika i świętego”, jest idealnym sposobem do osiągnięcia harmonii między ciałem, umysłem i duszą. Spopularyzowana została w USA i Europie Zachodniej pod koniec lat 60. przez Yogi Bhajana. Był on synem lekarza, dlatego całe dzieciństwo spędził w ekskluzywnych szkołach i otrzymał solidne wykształcenie (studia ekonomiczne na Uniwersytecie w Pundżabie). W związku ze swoją pracą jako wykładowca w 1968 wyjechał z Indii do Kanady. Poza nauką i życiem rodzinnym miał jednak swoje powołanie.

Bhajana mając osiem lat rozpoczął naukę u mistrza Sant Hazara Singha, który ogłosił go Mistrzem Jogi Kundalini. Po roku pobytu na kontynencie amerykańskim, założył organizację non-profit 3HO (Healthy, Happy, Holy Organization). Celem jej jest przede wszystkim promowanie medytacji i Jogi Kundalini. Natomiast w myśl zasady „Przybyłem nie po to, żeby zdobyć uczniów, lecz żeby wykreować nauczycieli”, po dwóch latach funkcjonowania 3HO

założył IKYTA, czyli Międzynarodowe Stowarzyszenie Nauczycieli Jogi Kundalini. Nowatorstwem w jego technikach było odejście od długowiecznej aury sekretu i praktykowania w tajemnicy. Kundalini przestała być strzeżona przez kolejnych mistrzów i dostępna tylko dla wtajemniczonych. Zaczął nauczać jej publicznie, co czynił sukcesywnie przez prawie 40 lat na terenie Stanów Zjednoczonych. Czym jest ona tak naprawdę? Polega na skupieniu się na świadomym praktykowaniu pięciu technik pracy z samym sobą. Są to kolejno *asany*, *pranajama*, *medytacja*, *mantry* i *mudry* (gesty rąk). Wszystkie te czynniki razem tworzą podstawę do rozbudzenia w nas energii twórczej, która zawarta jest w pierwszej czakrze, tzw. Muladhara. Dzięki regularnym praktykom, energia ta zaczyna wibrować i pisać się wzdłuż kręgosłupa po kolejnych czakrach, których łącznie jest siedem. Każda czakra ma przypisane do siebie odpowiednie emocje i funkcję psychiczną (np. radość, kreatywność, seksualność). To właśnie zaburzenia na linii przepływu energii pomiędzy nimi leżą u podstaw chorób charakterystycznych dla człowieka współczesnego, tj. nerwicy, lęków, stanów depresyjnych czy zaburzeń własnej wartości. Praktyki jogi kundalini pomagają ponownie osiągnąć wewnętrzny spokój, wiążą się z lepszym samopoczuciem i komfortem psychicznym.

W ośrodku Alchemia Yogi mamy sześć różnych poziomów praktykowania. Są to kolejno grupa początkująca, ogólna, praktykująca, praktykująca +, asana/pranajama/bandha i grupa familijna stworzona z myślą o wzmocnieniu więzi pomiędzy rodzicami i ich pociechami.

Jak widać, każdy jest w stanie wybrać coś dla siebie. A jeśli osiągnięcie spokoju jest tak proste, to czemu by nie spróbować?





POEZJA

Szymon Szwarc

Przytomność

Brudny strumień osiąga błogostan.
Sam brud jest statyczny, utwierdza się w przestrzeniach,
gdzie nie dociera owłosienie szczoteczki.

Proste rzeczy, o których trzeba rozmawiać,
o których nie chciałeś wiedzieć, chociaż
wiedziałaś, są proste. Drogi, które przeszły same siebie,

bo przeszliśmy same siebie, a to kawał drogi, nie mówiąc
już o tym, że to przeszło przez nasze usta i po cichu
przerosło, są trudne.

*

Musieliśmy palić wszędzie. Wszędzie.
Czarna bielizna woniała kosmicznie. Wiadomość
o czymś, o czym nie mogło być mowy,
nie została dostarczona, przeprosili.

Krążyła wśród nas jak widmo nieświeżego
oddechu wieszczka, pytanie musiało paść z wnętrza
ustroju. „Co robi naród?”, zapytało lustro,

w którym zaginął ojciec i pojawiają się od święta
zaledwie fragmenty matki. Naród schodził ze sceny
do schronu na cmentarzu, zbroił się w cierpliwość,

świerszcze, prezerwatywy, pamięć
o złożach ropy, hymn podziemia. Tak mijały dni
i lepkie, letnie mikrofały.

*

W piekle smażą się frytki, rosną paprocie, meble
i prze w zgaszone światło ewolucja sprzętu AGD-RTV.
Aż dziwi bezpieczna uległość rzeczy świata tego

i tamtego: złuszczony naskórek faluje jak resztką
ułudy na świeżym powietrzu.



*

Przytomność stracona na mapie wydłuża się w czasie
jak losy niewypału, warkocz gwiazdy
z filmów dla umarłych. Ona musi w końcu wrócić,

sama sobie nie poradzi. Chociaż stać ją na sukces,
nie stać jej na ochroniarza. Nie stać jej na tyle,
na ile by się chciało. Przechodniu, powstrzymaj się

i wyciągnij słuchawki z uszu: pomnik bierze prysznic.
Ojczyzna poszukuje gruntu pod nogami
Obywateli.

Otwiera się i zamyka się
jak winda towarowa.

*

Sportowy duch przenika w głąb naszych działań,
pies niesie w pysku frisbee dla zmarnowanych rąk.

Przekaz wiersza
pojawia się z opóźnieniem jak owoc
i załamuje gałąź.

Kiedy jest za późno, mówi lustro, ojczyzna zamyka
okrągłe drzwi, jak drzwi do pralki i wdraża nas
w swoje cykle.

Oczyszczamy się puszczeni.
Opuszczamy czyści.

Michał Pranke

Dziki wschód

Słońce zgasało na wypadek gdyby miało jeszcze kiedyś wejść
jako plama po jasności jeśli patrzeć z perspektywy ziemi, gdzie
jeszcze roznieci się tło wierne jak spam gasnący w tłumie, gdzie
tli się wypukłe oko rybiego boga, wrak Titanica i Kurska, a skoro

organizm to rura: naprzód natura. Pokaż słońce jaki z ciebie tłum.





KULTURALNIE

IX MŁODZIEŻOWE OGÓLNOPOLSKIE BIENNALE PLAKATU „PLAKAT MŁODYCH”

03 czerwca 2017, godz. 12, Galeria miejska BWA

Ogólnopolskie Młodzieżowe Biennale Plakatu to wydarzenie o podwójnym charakterze. Z jednej strony jest to wystawa, natomiast z drugiej konkurs skierowany do dzieci i młodzieży zeskół plastycznych oraz związanych z domami kultury. Problemem wiodącym bieżącej edycji są wzajemne relacje pomiędzy pojęciami konstrukcji i dekonstrukcji. Wystawa czynna do 14 czerwca.



KONCERT: CHERRIES UNDER THE WATER

03 czerwca 2017, godz. 17, Mózg,
wstęp 10 zł

Cherries under the water to bydgoski duet w skład którego wchodzi Monika Szala i Paweł Szala. Muzyka, którą wykonują, to mieszanka akustycznych brzmień oraz kantylenowej melodyjności w postaci dream popu. Instrumentarium w postaci gitar, skrzypiec, klawiszy oraz dwóch uzupełniających się głosów tworzy intymny klimat kompozycji. Na koncercie zaprezentują materiał z debiutanckiej płyty. Na scenie pojawi się również nietuzinkowy artysta – **Mateusz Lubiewski**.

KONCERT: AKPATOK, MINA, GWINCIŃSKI/LUBIEWSKI

09 czerwca 2017, godz. 21, Mózg,
wstęp 10 zł

Dla wszystkich fanów elektronicznej muzyki kameralnej, która momentami popada w eksperyment, a momentami w ambient, jest to wieczór obok którego nie można przejść obojętnie. **Akpatok** to projekt Dawida Adrjańczyka, który tworzy go wraz ze swoją żoną Niną. Muzyka którą prezentują to minimalistyczne, eksperymentalne poszukiwania dźwięku na głos oraz instrumenty. **Mina** jest enigmatycznym tworem, o którym za dużo nie wiadomo oprócz tego, że zaprezentuje gęste jak magma drony. **Gwinciński/Lubiewski** to duet przyjaciół, którzy na ten koncert przygotowali specjalny materiał. Z gitarą, klarnetem oraz klawiszami, będą poruszać się w ambientowych przestrzeniach z wpływami muzyki etnicznej.



W BYDGOSZCZY

FINISAŻ TRZYLETNIEGO PROGRAMU TEATRU POLSKIEGO W BYDGOSZCZY

23-25 czerwca 2017

+P3

TEATR POLSKI BYDGOSZCZ

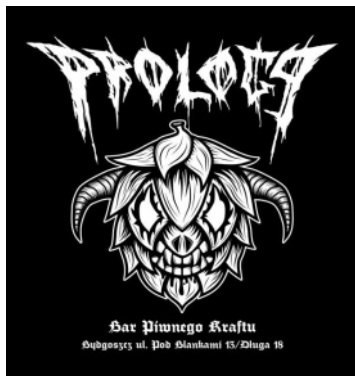
W czerwcu bieżącego roku Teatr Polski w Bydgoszczy zamyka swój trzyletni program. Podsumowanie tego okresu będzie trwało trzy dni w trakcie których odbędą się dwie premiery teatralne oraz dwie debaty. Pierwszy ze spektakli to „Solidarność. Rekonstrukcja” w reżyserii Pawła Wodźnińskiego, którego premiera odbędzie się o godzinie 19 w piątek 23 czerwca, natomiast drugi pt. „Workplace” w reżyserii Bartka Frąckowiaka będziemy mogli zobaczyć następnego dnia o godzinie 18. Debaty zaplanowano na sobotę na godzinę 15 („Solidarność, autonomia, samoorganizacja. Inna polityka jest możliwa”) oraz niedzielę na tę samą godzinę („MY LUD/MY OBYWATEL/MY TEATR”).

BOSKI FEST 2017

13-16 lipca,

„Naszłaku Brdy” ośrodek kempingowo-namiotowy

Boski Fest to impreza jedyna w swoim rodzaju. Cztery dni w malowniczym zakątku Brdy w czasie których odbędzie się pełno koncertów, warsztatów oraz paneli dyskusyjnych. Na dzisiejszy dzień nie znamy co prawda wykonawców którzy będą występować, jednak mając na uwadze poprzednie edycje, z pewnością nie będziemy zawiedzeni. Przestrzeń koncertowa będzie podzielona na trzy sceny: Dużą, małą oraz plażową. **Boski Fest** to inicjatywa przyjacielska oraz przyjazna. Bilety można zdobyć dwójako, albo wpłacając określoną przez siebie sumę na stronie projektu "Boski Fest 2017" na portalu polakpotrafi.pl do 24 czerwca lub po prostu kupić bilet. Karnet na cztery dni kosztuje 60 zł natomiast jednodniowy bilet 40 zł.



KONCERT: ARMS & HEARTS ORAZ OLING

14 lipca 2017, Prolog 9,
wstęp wolny

Ekipa *Rough Life Promotion* po raz kolejny zaprosiła do naszego miasta gości z zagranicy. Tym razem będą to dwaj panowie z Anglii, z których każdy zaprezentuje swój solowy materiał. Pierwszym z nich jest Steve Miller występujący jako **Arms & Hearts**, którego twórczość można określić mianem akustycznego folk punku. Drugim wykonawcą który wystąpi tego wieczora jest **OliNg**, który zarówno solowo jak i z zespołem *Tom Seals Band* miał okazję grać zarówno w Europie jak i Hong Kongu. Za swoją ostatnią utrzymaną w klimacie alternatywnego rocka EP *Into The Dark* otrzymał nagrodę Music Awards of Staffordshire & Cheshire 2017.



NIEZALEŻNA INTERNETOWA WYTWÓRNIĄ PŁYTOWA
WWW.PLEXUS-OF-INFINITY.PL

NOWOŚCI WYDAWNICZE

SAWANTY

ZBOŻÓWKA

Premiera: 1 czerwca 2017

Jeden z najgłośniejszych zespołów związanych z naszą wytwórnią powraca z nowym wydawnictwem. Tym razem będzie to materiał zarejestrowany na żywo podczas koncertu, który odbył się w Kielcach. Bezkompromisowość oraz nieskończona energia charakterystyczna dla zespołu uderza tutaj ze zdwojoną mocą. Album będzie dostępny w wersji cyfrowej do pobrania za darmo.



Maksymilian Gwinciński

Żółwie aż do końca

Premiera: 28 lipca 2017

Żółwie aż do końca to piąty solowy album Maksymiliana Gwincińskiego. Muzyka, której będzie się można spodziewać po płycie, to w głównej mierze improwizacja nawiązująca do muzyki etnicznej z różnych zakątków świata, m.in. z Indii, Japonii czy Nigerii. Instrumentarium wykorzystane na albumie stanowią klarnet, gitara, flet poprzeczny, flet bansuri oraz kalimba. Tytuły poszczególnych utworów odnoszą się do mitologicznych przedstawień żółwi danych kultur. Album będzie dostępny w wersji cyfrowej oraz fizycznej.

